Nr. 3. Warszawa, dnia 6 (18) Stycznia 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Prosimy pp. Autorów, których niezużytkowane rękopisy zachowujemy do zwrotu, ażeby je odebrali przed 1-ym marca, gdyż po tej dacie będą zniszczone.

POLITYKA.

ROK 1895.

II.

Sprawa bulgarska na półw. Bałkańskim w rozwoju swoim przyniosła w lipcu deputacyę zgromadzenia narodowego do Petersburga. Przewodniczył jej metropolita Klemens. Spodziewano się po niej więcej, niż wydała, i powitano ją bardzo uroczyście d. 3 sierpnia. Ks. Ferd. Koburski bawił podczas jej trwania w Karlsbadzie, Wiedniu, na Węgrzech, w Koburgu. Miał już nie wrócić, ale wrócił. Po powrocie miał syna swego najstarszego, Borysa, przeprowadzić na wiarę prawosławną; ale rok się skończył a nie było skutku tej zapowiedzi. Stoiłow z Naczowiczem i innymi stał ciągle u steru rządu od maja 1894, kiedy ks. Koburski odpędził był od siebie Stambułowa. Stronnicy Cankowa i Karawełowa ciągle wzbijali się w znaczeniu i powadze. Cankow należał do komisyi, złożonej na byłego pierwszego ministra i powołanej do oskarżenia go o gwałty, samowolę i nadużycia, nawet o zdzierstwo i kradzież grosza publicznego.

Zanim komisya zdążyła zadanie swe spełnić, już ręce morderców wieczorem d. 15 lipca w Sofii zmiotły niedoszłego jeszcze przestępcę. W trzy dni później Stambułow zmarł: wzburzenie przeciwko niemu wywołano tak wielkie, że nawet na pogrzebie i na cmentarzu polityczna nienawiść lała się potokiem. Książę Ferdynad *pro forma* występował z objawami, nakazywanymi przez samą cywilizacyę, ale nawet o wyśledzenie morderców nie postarał się jak należy, w granicach tej wątłej władzy, jaką mu Stoiłow z przyjaciołmi pozostawił. W końcu roku mordercy byli jeszcze prawnie nieznani—nie istnieli. Nie mówiono już nawet wcale o morderstwie, jakby je uważano za fakt naturalny. Śmierć sama umorzyła proces, wytoczony Stambułowowi jako człowiekowi działającemu na szkodę publiczną.

W czerwcu w Macedonii, na pograniczu bulgarskiem ukazały się zbrojne oddziały powstańców — nieliczne i nieosobliwie zbrojne. Ćwiczył je niejaki Stojanow pod Sofią i w samej stolicy bulgarskiej. W październiku dopiero Porta zgromadziła wojsko. Powstanie i bez tego by prysnęło. Czekało ono na wypadki ważniejsze, a gdy te nie przyszły, rozlazło się samo jako bezcelowe. Od ks. Ferdynanda Koburskiego otrzymało zachętę jeszcze w stanie swym embryologicznym. Stosunków z Turcyą, ani z Europą ten ruch marny nie zakłócił; dyplomacya nawet mało się nim zajmowała.

W Serbii najważniejszą sprawą była znowu niezgoda małżeńska króla Milana z królową Natalią. Królowi dano dokładkę do dawnego etatu na wesołe życie w Paryżu. Zaraz też wyjechał, a królowa bawiła dłużej i dwoma nawrotami. Panujący król Aleksander lgnie teraz do matki.

Stan bezkonstytucyjności trwał w dalszym ciągu. W kwietniu wybory do skupczyny dały rządowi ogromną przewagę. W lipcu stanął gabinet postępowców, w nim Nońaković, Franasowić, Popović. W końcu sierpnia król Aleksander o mało co nie utonął w Biarritz. W tym czasie wybuchły niesnaski z Austryą o ową wiekuistą trzodę chlewną, której Węgry wpuszczać do siebie nie chcą. Koniec roku zaznaczył się już spokojem. Konstytucya z r. 1888 czeka na konstytucyjną zmianę.

W Rumunii w październtku król Karol wziął sobie nowych ministrów ze stronnictwa Demetryusza Sturdzy. W sierpniu nowiniarze dawali królowi koronę bulgarską. Stosunki z Austryą, z powodu Rumunów siedmiogrodzkich ciągle układne, ale zimne i prawie naprężone, polepszyły się z chwilą wejścia p. Gołuchowskiego na kanclerstwo austryackie, a zwłaszcza po odwiedzinach obojga królestwa w Ischl d. 2 sierpnia.

Wśród wewnętrznych spraw Niemiec nie było ważniejszej od jubileuszu Bismarka i jubileuszu wojny r. 1870—1. Pierwszy przypadł d. 1 kwietnia. w 80-tą rocznicę urodzin; drugi ciągnął się przez rok cały i przeciąga na następny. Cesarz z ogromnym święcił te obie uroczystości zapałem. Nie zbrakło mu go i na otwarciu kanału z Kiel do Elby w d. 19—25 czerwca. W lipcu pojechał do Szwecyi, w sierpniu do Anglii; we wrześniu był na poświęceniu świątyni pamiątkowej w Berlinie, potem manewrował pod Szczecinem, oglądał flotę pod Gdańskiem, w październiku odwiedził „Reichsland," i tu znowu słowem namaszczonem poświęcił pomnik ojcu swemu pod Wörth (18 października). W listopadzie i grudniu polował.

Sejm niemiecki dostał nowego prezydenta: Buola z centrum, na miejsce Levetzowa, oburzonego odmową uczestnictwa w jubileuszu Bismarcka. W maju komisya sejmu odrzuciła „Umsturzvorlage" przeciwko socyalistom. Inna komisya nie chciała podwyższyć opłat od tytoniu; na projekcie swym rząd opierał przyszłą równowagę budżetu. W końcu roku szukano jeszcze nowych źródeł.

Z Petersburga nagle usunięty wieloletni poseł Werder, otrzymał w marcu następ-

cę w osobie księcia von Radolin z Konstantynopola, dokąd posłano Saurmę. W sierpniu kanclerz Hohenlohe bawił w Werkach, był w Petersburgu, we wrześniu wrócił prosto pod Gdańsk do cesarza. Zbliżenie się do Rosyi stanowi znamię polityki niemieckiej, widoczne w sprawach międzynarodowych. Potrójne przymierze jednak doczekało końca roku, a upływając już w r. 1897, ma być w 1896 odnowione. Cesarz Franciszek po manewrach szczecińskich zamianował cesarza Wilhelma generałem kawaleryi całej armii austryackiej, a w lutym jeszcze, po skonie arcyksięcia Albrechta, nadał mu tytuł feldmarszałka.

Koeller w grudniu wyszedł: następcą jego Recke z Düsseldorfu.

Zachowawcy pruscy wydali z siebie Kanitza, Kanitz zaś wydał projekt zmonopolizowania handlu zbożem, gdy jednak rada stanu odrzuciła monopol, a sejm handlowy niemiecki potępił bimetalizm, wnoszony przez agrarczyków — rząd dla lepszego uwydatnienia swej polityki ekonomicznej zmienił nadprezydenta Prus wschodnich, Stolberga, i wsadził na jego miejsce Wilhelma Bismarcka. Wniosek Kanitza dostał się do komisyi, ale jeszcze stamtąd nie wyszedł.

W sejmie pruskim daremnie kołatał Środek o przywrócenie zmienionych w „Kulturkampfie“ art. 15, 16 i 18 konstytucyi z r. 1850. Tak samo na sejmie niemieckim znowu daremnie ponowiono dawniejsze usiłowania o wprowadzenie nowożytnego porządku do średniowiecznej oazy meklenburskiej.

Katolicy odbyli d. 26—29 sierpnia wiec w Monachium: ujęli się za władzą świecką; wydali przytem wiele rozsądnych uchwał. Przedtem zebrali się biskupi w Fuldzie.

Zachowawcy pruscy stracili dobrą reputacyę nieskazitelnych. Jeden z najdzielniejszych, redaktor *Kreuz Ztng*, okazał się złodziejem. Zbiegłego do Aten przewieziono do Brindisi, ale stąd go jeszcze w grudniu policya niemiecka nie dostała.

W Austro-Węgrzech najważniejszymi wypadkami były zmiany we wszystkich trzech rządach naczelnych. W maju, wskutek nieporozumień z Węgrami o nuncyusza Agliardiego i jego niechęć ku nowym prawom wyznaniowym, ustąpił ze wspólnego ministeryum Kalnoky. W styczniu jeszcze stanęło nowe ministeryum na Węgrzech pod sterem b. prezesa Izby poselskiej, Banffy'ego, po Wekerle'm, który padł był jeszcze w grudniu roku poprzedniego. W czerwcu wreszcie, syte już niepowodzeń i nieufności podało się do dymisyi przedlitawskie ministeryum Windischgraetza przed wypracowaniem jeszcze projektu reformy wyborczej, spadłej nań po Taaffem. Na miejsce Kalnoky'ego cesarz Fr. Józef powołał hr. Agenora Gołuchowskiego. Po Windischgraetzu objęła rząd Przedlitawii grupa urzędników i dawnych ministrów pod Kielmanseggem, namiestnikiem niższo-austryackim — na czas krótki, póki w końcu września cesarz nie zamianował stałego gabinetu pod przewodem p. Kazimierza Badeniego, namiestnika Galicyi. Data nowych rządów 2 październik.

Dnia 22 października w obu Izbach wygłosił hr. Badeni program, a d. 24 p. Leon Biliński, jako minister skarbu, złożył *expose* finansowe. Oba podobały się — nawet Młodoczesi postanowili czekać. Hr. Badeni pomyślał o zmianie nielubionego namiestnika, hr. Franc. Thuna, na kogoś milszego, wyjednał amnestyę, złagodził stan policyjny, okazał stanowczość, ale i chęć zgody. Rok skończył się niezgorzej.

Delegacye austryacko-węgierskie zebrały się w czerwcu. Wyjaśnienia p. Gołuchowskiego nie odsłoniły żadnej tajemnicy, nie rzuciły nowego promienia na rzeczy pewne; ale nie wywołały też rozpraw nieprzychylnych.

W Wiedniu miał rząd kłopot z antisemitami i Luegerem, vice-burmistrzem, a potem burmistrzem-elektem. Hr. Badeni, w samym początku października, musiał rozwiązać Radę miejską i przywrócić dawniejsze rządy komisarskie. W sejmie w październiku i listopadzie działy się wskutek tego sceny gorszące. Pod koniec roku tempo serc antisemickich zwolniało.

Na Węgrzech od 1 października zaczęły obowiązywać trzy prawa wyznaniowe: o aktach stanu cywilnego, o małżeństwach i o religii dzieci; dwa ostatnie: o recepcyi (uznaniu) żydów i swobodzie wyznań, skutkiem sporu magnatów, w listopadzie dopiero nabrały mocy prawa. Wichrzenie polityczne nie ustawało. Zajście z Agliardim groziło zerwaniem stosunków z Watykanem. Kossuth Franciszek, syn patryoty z lat 1848—9, z Justem i Ugronem, podżegał przeciwko dynastyi. Wytworzyło się nowe stronnictwo Zichy'ego, wzmogło stronnictwo narodowe Aponyi'ego: wielki obóz liberalny z czasów Deaka już rozerwany. W Zagrzebiu w październiku spotkały króla węgierskiego — przykrości wybryków studenckich — antywęgierskich.

STOSUNKI PARTYJNE CZECH.

II.

Wznowienie „czeskiego prawa państwowego“ jest najwyższem żądaniem. W razie jego wprowadzenia, rozwój narodowy Czechów ma być całkiem zabezpieczony. Nie zrozumiawszy dokładnie, na czem polega to prawo, nie będziemy mogli pojąć należycie ani stosunku Czechów do Niemców, ani prowincyj czeskich do reszty Austryi. Czeskie prawo państwowe jest główną przyczyną programu wszystkich ich stronnictw; nawet wśród demokratów społecznych, którzy dawniej stanowczo występowali przeciwko owemu prawu, daje się obecnie spostrzegać pewien zwrot przychylny ku niemu.

Na zasadzie czeskiego prawa państwowego Czechy, Morawia i Szląsk (cały, a więc i cieszyński), powinny stanowić jedną, niepodzielną całość, wchodzącą w skład monarchii Habsburgów. Przytem każda z tych prowincyj powinna korzy-

3:

Urywek z dziennika.

Po długich i gorących sporach, znaleźliśmy się z Olkiem znowu na ulicy.

— Powiedz mi, mój kochany—rzekłem, biorąc go pod rękę — co to w nas jest, w nas, ludziach dzisiejszych czasów, że szukamy uparcie i zawsze spodziewamy się znaleźć w naszych bliźnich zupełnie coś innego, niż to, co da się znaleźć istotnie. Czyżby nasze ideały podniosły się wyżej nad dawny poziom, czy ludzie stali się gorsi? Ależ nie! Ani jedno, ani drugie! To, co nas uczy moralności, ta drobina etyki, płynie wszak z tego samego źródła, co płynęło od lat tysiąca. Nie dodało się tu chyba ani jednego słowa. Narzekać zaś na zepsucie naszego świata jest wprost śmiesznie, gdy się weźmie pod uwagę, czem byli i jak baraszkowali nasi przodkowie z owych czasów... Możesz mi więc wytłomaczyć, czem się to dzieje, że co chwilę napotykamy niespodzianki, od których, doprawdy, świat gorzknie.

— Nie wiem, do kogo śpiewasz — odrzekł mi Olek i zdziwiło mię, że jakbym słyszał trochę podrażnienia w jego głosie;— jeśli do Biernackiego, to przecie żadna niespodzianka, iż wszystko widzi w czarnych kolorach. Maruda, tetryk — ale w gruncie najpoczciwszy chłopiec.

— Nie mam na myśli Biernackiego wyłącznie; jest takich wielu... zapewne. Ale wytłomacz mi, jeśli możesz, czemu nam wszystkim tak ciężko życie płynie? Czemu wyobrażamy, że ocieramy się o jakieś ostre, kanciaste przedmioty, że aby uniknąć pokaleczenia i nie obedrzeć skóry, kurczyć się w sobie musimy coraz ściślej? Niewątpliwie, przyczyna leży w nas samych, ale w czem się ona streszcza — chciałbym wiedzieć? Czyż to ta nadczułość, o którą nas pomawiają? Czy te nieszczęsne nerwy, na których odpowiedzialność zwykliśmy wszystko składać? Wygodnie, w samej rzeczy, mieć taką przyczynę przyczyn, na którą powołać się można w każdym wątpliwym wypadku. Ja jednak — znasz mię — nie cierpię wcale na nerwy, mimo to nie dzieje mi się lepiej, niżli patentowanym nerwowcom. Ludzie dawnych czasów byli jakoś bardziej rzeźcy, niż my; nie zadawali sobie trudu troszczyć się o drugich, a mieli baczność jedynie, aby w zgodzie być z własnem sumieniem. Spotykały ich mniejsze lub większe krzywdy czy obrazy — szukali sprawiedliwości, często wymierzali ją sobie sami, płacili nienawiścią lub wzgardą i wszystko było w porządku. Nie słyszałem, aby który z nich doświadczał przykrości, dokuczliwej w odczuciu rozdźwięku, jaki się codzień napotyka w ludziach i stosunkach. Tak, rozdźwięku. Weźmy naprzykład owe zasady moralności, o których wspomniałem. Przodkowie nasi brali dziesięcioro przykazań bożych, pięcioro kościelnych, dobrze ich się uczyli na pamięć i całe życie kierowali się niemi ściśle — ani kroku w prawo, albo lewo; a dobrze im z tem było zupełnie. Nas uczą równie tego samego na pamięć; ale skoro tylko pierwszy krok w samoistnem życiu postawimy, zaraz rozpoczynamy swoje... „Nie kradnij,“ „Ani wołu, ani osła“... Ależ tu właśnie i „wół,“ i „osieł,“ i „każda rzecz, która *nie moja* jest.“ Czy powiesz mi śmiało, z ręką na sercu, że to, co jesz, i tam, gdzie mieszkasz, i w co się ubierasz, że nawet co umiesz i co myślisz, a więc czem jesteś sam w swej podniosłości, nie jest gdzieś, komuś, z czyjąś krzywdą — rzetelną, nie urojoną krzywdą — odebrane tradycyjną przemocą? Jesteś rolnikiem, ja — urzędnikiem; czy zapewnisz mnie, że nasze wygody sprawiedliwie nam się należą, że ty, aby żyć dostatnio i prawie bezczynnie, nie zmuszasz

stać z jak najszerszej autonomii i zupełnej samodzielności wewnętrznej.

Węzłem, łączącym wszystkie te trzy prowincye, jest osoba króla tudzież wspólne prawo obywatelstwa, tj. zasada, na której mocy prawa obywatelstwa, używane w jednej z tych prowincyj, mają znaczenie i w dwu pozostałych. Powinien istnieć wspólny generalny sejm przedstawicieli wszystkich trzech części, od którego zależy: wybór króla i każda sprawa, dotycząca całego państwa czeskiego *).

Sprawy wewnętrzne każdej prowincyi rozstrzygają sejmy prowincyonalne. Oba języki krajowe, tj. czeski i niemiecki, powinny być zupełnie równouprawnione. Król zarządza skarbem, bije monetę i ma prawo ogłosić pospolite ruszenie w razie potrzeby bronienia państwa czeskiego, a od roku 1720 i innych prowincyj austryackich. Oto jest treść główna owego prawa.

Gdyby Czesi zdołali dopiąć swego celu, tj. nakłonić cesarza do przyznania i wznowienia tych przywilejów, przyniosłoby to im wielkie korzyści pod każdym względem, zwłaszcza ekonomicznym, ponieważ wówczas dochody ziem czeskich byłyby obracane prawie wyłącznie na zaspokojenie potrzeb miejscowych. I pod względem narodowym Czesi zyskaliby bardzo dużo, gdyż sprawy szkolne zależałyby od nich bezpośrednio i w ten sposób wszelkie dążności germanizacyjne byłyby zupełnie sparaliżowane.

Ma się rozumieć, że Niemcy w Czechach, Morawii i na Szląsku są zażartymi przeciwnikami wznowienia owego prawa, gdyż znaczenie Niemców w ziemiach czeskich bardzo by się zmniejszyło. Nie odgrywaliby już nietylko roli gospodarzy i panów, cieszących się poparciem rządu centralnego, ale nie mieliby nawet pewności, czy większość czeska zechce trzymać się litery prawa i nie zacznie ich gnębić.

Rzecz niewątpliwa, iż bardzo wielu członków stronnictwa młodoczeskiego zapatruje się na wznowienie prawa jako na środek czechizacyi Niemców w obrębie prowincyj powyższych tudzież Polaków w Cieszynie **). Jednakże bardziej umiarkowana część społeczeństwa czeskiego jest daleko od tej myśli; zresztą czechizacya Niemców nie da się tak łatwo przeprowadzić.

Dopóki Czesi nie potrafią pod względem wznowienia prawa pozyskać zgody i współdziałania swych ziomków niemieckich, dopóty wszelkie ich zabiegi w tym zakresie żadnego skutku osiągnąć nie będą mogły, rząd zaś nigdy dobrowolnie wbrew woli Niemców nie zgodzi się na tak znaczne ustępstwo. Czesi przedewszystkiem powinni postarać się o jakiś *modus vivendi* z Niemcami, któryby zapewniłby tym drugim nietykalność ich słusznych praw narodowych. Taki zaś sposób może istnieć tylko przy jak najszerszym rozwoju samorządu miejscowego, któryby zabezpieczył zupełną samodzielność i wolność życia kulturalnego każdej narodowości. Gdy te prawa narodowe zyskają umocowanie, już nie trudno będzie nakłonić Niemców do popierania dążności prawnopaństwowych czeskich. Właśnie do takiego *modus vivendi* na zasadzie jak najszerszego samorządu miejscowego dążą realiści, o których już wspominaliśmy kilka razy. Realizm jest tak charakterystycznym objawem życia czeskiego, że musimy zatrzymać się przy nim nieco dłużej.

Prąd ten przejawił się po raz pierwszy w czasie głośnego sporu o autentyczność słynnych rękopisów — Królodworskiego i Zielonogórskiego, które wrzekomo były zabytkami starożytnej poezyi czeskiej i miały świadczyć o nader wysokim poziomie kultury czeskiej już w czasach zamierzchłych. Zaraz po „odkryciu“ rękopisów tych przez Hankę, ich autentyczność obciążona była podejrzeniem. ale ostatecznie rozstrzygnięto kwestyę.

Grono profesorów uniwersytetu czeskiego w Pradze udowodniło na podstawie badań ściśle naukowych, podjętych ze stanowiska historycznego, socyologicznego, filologicznego i chemicznego, że oba te rękopisy są ni mniej ni więcej, jak „patryotycznymi“ falsyfikatami. Ci właśnie profesorowie stworzyli grupę t. zw. realistów, która pierwotnie ograniczała się wyłącznie tylko do działalności naukowo-literackiej, ale z czasem wystąpiła i na widownię polityczną w osobach trzech swych przedstawicieli: Masaryka, Kaizla i Kramarza.

Rzecz zastanawiająca, że reliści, którzy pod względem swych przekonań społeczno-ekonomicznych są tu bez porównania postępowsi, aniżeli młodoczesi, wyszli jednak z szeregów staroczeskich i tylko przed wyborami w r. 1791 przyłączyli się do stronnictwa młodoczeskiego. Trzech posłów-realistów zajęło w obozie młodoczeskim stanowisko zupełnie samodzielne i wpłynęło bardzo korzystnie na jego działalność. Kiedy jednak przywódca i główny przedstawiciel grona realistów, prof. Masaryk, złożył (w r. 1893) mandat poselski, realiści przestali odgrywać w polityce rolę samodzielną i dwaj posłowie, Kaizl i Kramarz, pracują w partyi jako młodoczesi, odbijając się od jej tła szerego swem wykształceniem fachowem i znajomością kwestyj ekonomicznych.

Wycofawszy się z czynnego życia politycznego, prof. Masaryk poświęcił wszystkie swe siły pracy profesorskiej i publicystycznej. Jako rozumny, wszechstronnie wykształcony i wysoce utalentowany profesor, cieszy się on ogromną a całkiem zasłużoną popularnością wśród młodzieży. Jego nadzwyczaj zajmujące wykłady pobudziły młode pokolenie czeskie do zajęcia się szeregiem kwestyj, o których pojęcia nie mieli ludzie starsi. Roztrząsając w swych prelekcyach tematy najżywotniejsze, prof. Masaryk zmusił młodzież czeską do studyowania wszystkich kwestyj palących doby dzisiejszej. W ten sposób przyczynił się do wytworzenia wśród tej młodzieży t. zw. ruchu postępowego, o którym będziemy mówili niżej. Jego działalność publicystyczna wywołała radykalną rewizyę czeskiego programu narodowego i wyjaśniła kwestye zasadnicze narodu i społeczeństwa. Pod jego to wpływem w literaturze czeskiej powstała szkoła krytyczna.

Organ prof. Masaryka, *Nasza Doba*, ma śmiałość występować przeciwko wszelkiemu fałszowi, chociażby on był ubrany w najbardziej patryotyczne frazesy, nie boi się zwalczać powag i tradycyj, jeśli te są szkodliwe dla normalnego rozwoju narodu. Oba organy realistów, tj. miesięcznik prof. Masaryka — *Nasza Doba* i redagowany przez dra Herbena tygodnik — *Czas*, odgrywają bardzo wybitną rolę w życiu umysłowem inteligencyi czeskiej, uczą ją myśleć samodzielnie i zapatrywać się krytycznie na wszystko.

Realizm — jak go określa sam prof. Masaryk *)— nie chce być tylko partyą,— jest to raczej kierunek, metoda. Profesor

*) Sejm generalny był zwołany po raz ostatni w roku 1836.

**) Czeskie prawo państwowe niczem nie gwarantuje przywilejów językowych 200,000 ludności polskiej w Cieszyńskiem.

*) W swej nadzwyczaj ciekawej książce: „Czeska otazka.“ Praga, 1894.

---

pracować na siebie wielu rąk, które wcale takiego rezultatu swej pracy, jak ty, nie doczekają? A ja, czy zdobyciem sobie kawałka pszennego chleba nie pozbawiłem go innych, wielu innych, którzy po ten sam kęs z rozpaczą może wyciągali ręce? I „wół“ tu jest i „osieł“ — możesz być pewnym. Wszakże pod naszem okiem, we własnym naszym domu, musimy tolerować nieraz kradzież naszych sług — tak, tolerować występek, bo rozumiemy, że to nędza żywi się okruchami naszych stołów, bo nie możemy powiedzieć im śmiało; to moje, i nie mi do tego, że ty nie masz.

Albo to: przeciw bogom cudzym? Ojcowie nasi nie przynosili ofiar żadnej Izydzie, ani Apisowi i byli zupełnie zaspokojeni w swem sumieniu. My zaś łatwo spostrzegamy te bogi cudze. Jeśli kto całkiem utonął w szczęściu dla własnego gniazda, jeśli kogoś zaślepia myśl samolubnej ambicyi, jeśli widzimy, jak ktoś uparcie, mimo wszystko, drapie się coraz wyżej po drabinie karyery, nie wahając się nawet wchodzić w układy z własnemi przekonaniami, z własną wiarą, to mówimy wówczas, że kłania się nieprawowitemu bóstwu, że sprzeniewierzył się starym bogom swego naiwnego, czystego, nawskroś przesiąkniętego prawdą dzieciństwa. I wszystkie z owych przykazań podobnie dziś traktujemy.

I powiedz, proszę, po co nas to wszystko tak żywo porusza? Po co te wszystkie rozdźwięki, i swoje, i nie swoje, tak nas torturują, że wprost niemożebnem czynią istnienie? Wyobrażasz sobie, że głową o jakiś mur wciąż się rozbijasz i mimowoli wołasz: dalej nie sposób! — jedno z dwojga: niech zginę ja, lub zgiń, murze! Ale ty mnie nie słuchasz?

Istotnie, oczy Olka z upartą myślą wewnątrz patrzyły na witryny sklepów, nic w nich nie widząc. Moje pytanie zbudziło go jednak.

— Cóż znowu? Jakże możesz posądzać? Wiesz przecie, że gdy ze wsi wyruszę, to mi przyjemnie pogawędzić z ludźmi wogóle, a z tobą w szczególności.

— Co mię najbardziej pociąga w jego wiejskiej duszy, to wszelki brak owego fałszywego wstydu, z jakim my, światowcy, umiemy ukrywać nasze najpoczciwsze uczucia. Olek, wiem, lubi mię i nie stara się temu zaprzeczyć.

Zajęty swemi myślami, ciągnąłem dalej:

— Czy pochodzi to stąd, że mamy bardziej analitycznie wyćwiczony umysł? Że nie przystajemy już na te z gruba ociosane prawdy dawnych wieków, a zapuszczamy się w subtelności, które dają nam silniejsze oświetlenie stosunków? Wpajane w dzieciństwie zasady altruistyczne bierzemy literalnie, a nawet z wszelkimi dalszymi z nich wywodami — bierzemy je poważnie, co więcej, nasiąkamy niemi. Życie zaś, jak dawniej, wspiera się na stosunkach z czasów dziesięciorga przykazań i drwi z nas sobie, i nie chce ani słyszeć, że my, dzisiejsi, nic a nic w nim do roboty mieć nie możemy. Głoszą nam potrzebę nowej etyki, zapowiadają przyjście nowej religii — lecz, proszę cię, czemże zła jest nasza, jeśli traktowana będzie we właściwem świetle naszych pojęć dzisiejszych?

Olek zatrzymał się i zafrasowany spojrzał na zegarek.

— Spieszysz? Zatrzymuję cię? — spytałem.

— Ej, nie! — odrzekł jakoś niepewnie, a po chwili dorzucił: Wszakże tak! Muszę zajść jeszcze w jedno miejsce.

— To czemuż mi nie mówisz? No, idź! Do widzenia.

Wyciągnąłem doń rękę, ale Olek stał niezdecydowany i zakłopotany.

— Widzisz—zaczął, patrząc w stronę— ot tak się stało... I nagle zwrócił na mnie błagalne oczy. — Pożycz mi jeszcze ze sześćdziesiąt rubli... Dyablo potrzebuję.

— Słuchaj, chłopcze — powiedziałem jak można najserdeczniej — gdzie ty jednak podziewasz taką masę pieniędzy?

Olek szarpnął się zaczerwieniony.

ten uważa politykę za rzecz bardzo ważną, ale nie za główną. Pierwszą i najważniejszą sprawą powinien być wewnętrzny, moralny i kulturalny postęp społeczeństwa. Życie państwowe i polityczne — to tylko jedna strona duchowa narodu. Dla drobnych ludów nie ma ona tak wielkiego znaczenia, jak się wydaje.

Prof. Masaryk wciąż powtarza, że człowiek przedewszystkiem powinien dbać o to, ażeby stać się lepszym, moralniejszym, humanitarniejszym, a we wszelkiej walce używać tylko środków uczciwych. To ustawiczne powtarzanie, że podścieliskiem wszelkich przejawów życia narodowego powinny stać się zasady humanitaryzmu i etyki, ma nadzwyczaj doniosłe znaczenie w Czechach, gdzie fałszywie pojęty nacyonalizm oddziaływa wprost demoralizująco na społeczeństwo.

Wskutek złego wpływu kierowniczych organów prasy młodoczeskiej, naród ten gotów jest uniewinniać wszelką najniemoralniejszą nawet taktykę, byleby ta tylko przyniosła jakieś korzyści polityczne. Oto dlaczego widzimy posłów młodoczeskich, którzy z jednej strony wypowiadają w parlamencie piorunujące mowy w obronie powszechnego prawa głosowania z drugiej zaś korzą się uległe wobec przedstawicieli zasad krańcowo przeciwnych ich własnym. Ma to przynieść Czechom jakąś wyższą korzyść polityczną.

Prof. Masaryk uważa, że główną powinnością inteligencyi jest praca dla tych klas, które dotąd lekceważono we wszelkich robotach kulturalnych. Dać im pewne prawa — tego mało; trzeba myśleć i pracować razem z niemi i dla nich. Realizm chce rozszerzyć i pogłębić wykształcenie literackie, naukowe i filozoficzne, przyczem pragnie wiedzę uczynić dostępną dla mas jaknajszerszych. Rzecz całkiem zrozumiała, że jeśli z jednej strony wśród lepszej części młodzieży poglądy prof. Masaryka spotkały się z wielką sympatyą, to z drugiej starsza inteligencya (staroczesi, młodoczesi a zwłaszcza klerykalni) zachowuje się względem nich z nietajoną niechęcią i w walce z prof. Masarykiem częstokroć ucieka się do środków niezbyt szlachetnych. Tak np. na jego wykłady uniwersyteckie przychodzą szpiegowie redakcyjni (specyalny gatunek!), którzy następnie obrzucają go błotem po pismach, głównie klerykalnych, czerpiąc materyał do oszczerstw i denuncyacyj z jego prelekcyj. Drobna prasa prowincyonalna tudzież najbardziej rozpowszechnione czasopisma humanistyczne usiłują przedstawić prof. Masaryka jako zdrajcę narodu o mało że nie przekupionego przez... rząd berliński na zgubę Czechom. *Narodni Listy* starają się zachowywać milczenie o wszelkiej działalności tego człowieka — jest to zresztą zwykła ich taktyka względem wszelkich zjawisk niesympatycznych i niedogodnych dla młodoczechów.

Wogóle rzec można, że czeska prasa polityczna jest prawdziwą plagą w życiu społeczeństwa. Wieczne spory o drobnostki, oszczerstwa, knowania, używanie środków niemających nic wspólnego z publicystyką — oto główne cechy przeważnej części pism czeskich. *Hlas Naroda* np., organ urzędowy stronnictwa staroczeskiego, uważa za swe główne zadanie polemikę z młodoczechami i to brudną, oszczerczą, nie brzydzącą się nawet denuncyacyą. Jeszcze dalej idzie w tym kierunku klerykalny *Czech. Narodni Listy* zachowują większą godność, ale i ich taktyka daleką jest od doskonałości, nie mówiąc już o tem, że są całe kategorye zjawisk politycznych, względem których pismo to usiłuje trzymać swych czytelników w najzupełniejszej nieświadomości, posuwając się nawet aż do fałszowania urzędowych doniesień telegraficznych. Taką dążnością odznacza się ów organ, mówiąc o sprawach słowiańskich.

(D. n.).

Leon Wasilewski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Porwanie się cesarza niemieckiego w obronie — sprawiedliwości nie przyniosło dotychczas Transwaalowi nic, prócz owego telegramu do prezydenta Krügera, który takie oburzenie w Anglikach wywołał. Zamiary Wilhelma II znajdują się ciągle jeszcze w okresie kwitnienia; wieje zaś na nie silny a mroźny wiatr rozsądku, zalecający nie szukać guza, gdy go się jeszcze nie dostało. Owocu nie będzie, bo wiatr kwiecie z gałązek postrąca. Nawet ów słynny swym żarem telegram od bladego rozsądku jakoś pobladł i wygląda obecnie bardzo niewinnie. Teraz już niema w nim „zbójeckiej napaści,“ są tylko „zakłócacze pokoju“ (*Fiedensstorer*). Królowa angielska napisała do swego wnuka list, a wnuk, rzecz prosta, nie mógł listem nie odpowiedzieć: wymieniono myśli musiały mieć własność wody uśmierzającej. Już przedtem cesarz zrobił był pierwszy krok od sprawiedliwości do Anglii, gdy matkę swą, cesarzowę Fryderykową, poprosił o wytłómaczenie go przed babką z przestępstwa owego telegramu.

Niemało na ułagodzenie rwącego się rumaka fantazyi wpłynęło oburzenie egoizmu angielskiego. Niemcom zaczęto wypowiadać w Anglii służbę, odprawiano ich brutalnie—moralnie wypędzano ich od siebie. W kraju macierzystym nie mogło to nie poruszyć serc i nie wywołać w nich filisterskiego tętna: do chleba i dla chleba. Przytem cesarzowi samemu anglicy robili jawne niegrzeczności: na rozmaitych teatrzykach i widowiskach śpiewaczo-tanecznych wyszydzali jego ujęcie się za Transwaalem i sprawiedliwością, drwili z jego interwencyi w „wewnętrzne“ sprawy angielskie. Zamiast skutku piekącej wody królewskiej wystąpił więc znowu skutek—onej wody uśmierzającej.

Przy takiej taktyce sprawa stać się może istotnie „wewnętrzną,“ jak ją chcą mieć Anglicy, opierający się na literze traktatu z r. 1884. Lord Salisbury porozumie się z prezydentem Krügerem i jego wysłańcami do Europy o nadanie praw owym rokoszanom w Johannesburgu, którym to właśnie z pomocą spieszył Jameson. Rokoszanie staną się nowymi obywatelami napastowanej rzeczpospolitej. Wszystkich, nowych i starych, Albion pod zwierzchnim okiem swojem trzymać będzie nadal, jak dotychczas, a gwałt da mu tylko sposobność do wbicia nowego gwoździa w rusztowanie, na którem kiedyś rozpięta zawiśnie wolność Transwaalu.

Prezydent Krüger ułatwił Anglikom — i sobie porozumienie się względnością, okazaną tym awanturnikom, których oręż Transwaalczyków na miejscu pod Krügersdorpem nie powalił. Sam Jameson i jego 600—700 żywych towarzyszów otrzymało łaskę zupełnego przebaczenia. Wzamian zbuntowani w Johannesburgu uitlanderzy, Anglicy z pochodzenia, złożyli broń, a prezydent rzeczpospolitej tylko przewódców związku t. zw. narodowego, rzeczywiście zaś przeciw-narodowego, bo skierowanego przeciwko państwu, oddaje pod wyrok zgromadzenia, sprawującego

---

— Badanie? Czy powinienem sprawę zdawać?

— Ależ bynajmniej! Czyż jednak gniewać się będziesz o to, że stary twój przyjaciel troszczy się o ciebie? Nie od dziś widzę, że z tobą jakoś kiepsko.

Ale Olek nie dał mi dokończyć.

— Mój drogi, jeśli nie chcesz dać, to nie daj. Co tu długo gadać!

Twarz mu znów nabiegła krwią, zagryzł usta. Natomiast z piersi jego wyszedł głuchy, chrapliwy szept z nadmiaru podniecenia:

— Mam się spowiadać? Czy nie dość ci jeszcze, że znoszę cierpliwie twoje kazania, które mnie tyle obchodzą, co przeszłoroczny śnieg?

Teraz ja z kolei musiałem użyć wielkiego wysiłku, aby stłumić w sobie okrzyk wyrzutu, jaki rwał mi się na usta.

— Nie powiesz? — rzekłem, czując, że głos mię zdradza. — Mnie nie powiesz, któregoś tak niedawno nazywał bratem?

Mówiłem to nie tyle, aby go zmusić do wyznania, ile aby dowiedzieć się, co więcej jeszcze kryje się dla mnie w jego piersi. Nie potrzebowałem czekać.

Nazwałem, więc cóż?—wybuchła jego myśl. — Z tą nazwą otwierały mi się wszystkie drzwi, które chciałem, aby się otwarły; z tą nazwą w twoim domu byłem jak we własnym, i w twojej kieszeni, jak we własnej. Za to znosiłem twoje perory i nieraz dla twojego „widzimi się“ urywałem sobie najprzyjemniejszej zabawy. Który to brat zrobi dla brata, chciałbym wiedzieć.

Na szczęście miałem przy sobie jakąś sumę, pospieszyłem co prędzej mu ją wręczyć.

— Resztę przyślę ci wieczorem — powiedziałem, starając się nie patrzeć na niego.

Rzucił się z podziękowaniem, rozpromieniony nagle i wzruszony.

Cofnąłem się.

— Proszę cię, nie trzeba! Nie idź ze mną! Porzuć mię! Chcę być sam.

Z temi słowami pozostawiłem go, nagle skręcając za róg ulicy. Musiał patrzeć na mnie wielkiemi oczami.

Ja sam sobie zaczynałem niedowierzać. Co to ze mną się robi? Jakimże to straszliwym podlegam halucynacyom! Ale gdzież tam! To nie są wizye! Słyszę — wyraźnie, niewątpliwie słyszę ich myśli... Ach, Olek, Olek!.. W gruncie nie jest to może rzecz tak wielka — ale pocóż stara się wydać innym, niż jest w istocie? Ten poczciwy, otwarty chłopak, ta dusza taka świeża i naiwna... Teraz tylko czuję, jak bardzo go lubiłem, jak prawdziwego, bliskiego memu sercu młodego brata. Udawać, łasić się o moje pieniądze... Brr!.. Mógłby sobie brać jeszcze więcej, ale po cóż mię okłamywać? Nędzna, maluczka dusza, coś pełzającego strasznie przy ziemi... Teraz pewnie za moje pieniądze brnie po uszy w rozpuście... A na każdy żart lżejszy czerwienił się, jak dziewczyna!.. Teraz wierzę w to, o czem napomykał Karol. A tak się nań gniewałem wtedy!

Myśli w tak dziwnym chaosie szarpały mój mózg, że prawie mię bolały. I kogo tu więcej żałuję, człowieka, czy przyjaciela? Ach, i jednego i drugiego. I gdy tak zestawią się te dwa pojęcia... Te dwa pojęcia w jednej żałobie, w jednej trumnie!..

Szedłem coraz prędzej, z niejasną jednak nieświadomością że sam od siebie uciec nie potrafię. Gorycz i żal przepełniały mię. Poczucie jakiejś nieokreślonej a dojmującej krzywdy gnębiło mię coraz bardziej, wywołując chwilami bunty wstrętu i oburzenia. A po za tem wszystkiem czułem się bez granic zmęczonym. Pół życia oddałbym za chwilę absolutnego spokoju — bez myślenia, bez wrażeń, bez rozczarowań.

(D. c. n.).

W. Dal.

władzę najwyższą. Zgromadzenie najzuchwalszych ukarać powinno, ale postąpiłoby nierozważnie, gdyby jednocześnie owych *uitlanderów*, jakby „pozakrajowców,“ cierpiących na niepełne obywatelstwo, na jakąś *capitis deminutio*, odrazu nie zamieniło w doskonałych, pełnoprawnych obywateli. Pozostałaby tylko sprawa kosztów. Za gwałt i krzywdy przezeń zrządzone odpowiedzieć powinna „British West South Africa Chartered Company,“ bo ona to właśnie Jamesona wypuściła na Boerów. Ale ta kompania, w prawa polityczne zbrojna, milionami rozporządzająca, prowadzona przez margr. Fife, ożenionego z córką ks. Walii—zasłania się tem, że Jameson nie był już jej pachołkiem, kiedy napadał na Transwaal, gdyż miał dymisyę urzędową w kieszeni — prawdziwie, jakby się słuchało obrony rozbójników i złodziei, zawiązanych w bandę! Zdrowy przecież rozsądek ministrów angielskich nie zaniedba spełnić obowiązku, lekceważonego przez angielski honor arystokratyczny.

Prezydent Cleveland za przykładem cesarza Wilhelma, zostawia sprawiedliwość własnemu przemysłowi. Nie słychać już nic o energii przyszłej a obecnem wrzeniu w obronie granic Venezueli. Komisya *ad hoc* pracuje tak cicho, że jej najbliżsi nawet nie słyszą. Ucichł też huk wydawany przez doktrynę Monroego. Wszystko się układa do poziomu i równowagi spokoju. Anglia zrobiła, zdaje się już, to ustępstwo, że uznała pośrednictwo Stanów Zjednoczonych i zaczęła już zapominać o swych „prawach“ do terytoryów pomiędzy Orinoco a Essequibo. Zamiast praw wykłada na stół funty sterlingi. Chce nabyć, jeśli nie w całości, to w wielkiej, a wyborowej części to, czego jej samowola w latach 1837—43 i upór w niej już za dni naszych dać nie mogły. Venezuela zbroi się na wszelki przypadek, prezydent jej wszakże, Crespo, uważa oręż za ostateczność i skłania się już do dobrowolnych ustępstw; za głosem tym pójdzie i cała federacya. Wydanie złotych pól jest prawdopodobnem; ale ujścia Orinoco, wzbudzające taką pożądliwość w Albionie—pozostaną chyba nadal przy Venezueli. Odstąpienie ich bez walki byłoby samobójstwem.

W Afryce włoskiej—cała już armia Menelika stanęła na widowni wojennej. Część jej oblegała od d. 6-go do 11-bezskutecznie najbardziej obecnie na południe wysunięte stanowisko włochów, Makallę. Wszystkich abisyńczyków ma być do 60.000—nikt ich nie liczył. Baratieri stoi wciąż w leżącym na północ i wschód Adigracie i odsieczy nie daje, pomimo nadejścia już pierwszych posiłków z Europy. Prawdopodobnie czuje niebezpieczeństwo działania w otwartem polu. O ruchach Abisyńczyków przeciwko niemu nic nie wiadomo. Sudańczycy siedzą cicho. P. Crispi pragnie odroczyć parlament, zbierający się d. 20 b. m., aby mu opozycya nie zalała sadła za skórę.

W Europie—jeszcze czasy świąteczne. Tylko p. Bourgeois miał mowę rdzennie polityczną w Lugdunie, a sejm w Peszcie zajmował się Chorwacyą i jej lojalizmem węgierskim—d. 14 b. m.

Cesarz Wilhelm w sobotę obchodzi 25-letni jubileusz ogłoszenia cesarstwa niemieckiego w Wersalu. Zaprosił na tę uroczystość Bismarcka. Będzie miał wkoło siebie i książąt krwi, i panujących niemieckich, i naród cały, z wyjątkiem socyalistów. Gdyby był d. 3 b. pomyślał o tem święcie, nie byłby sobie marzenia o niem zatruwał telegramem owym do prezydenta Krügera.

LITERATURA I SZTUKA.

GERHARD HAUPTMAN

i ostatnia jego sztuka.

Berlińczycy, to żywioł bardzo mało zapalny. Dla cudzoziemca, który z zimną krwią obserwatora przygląda się ich życiu, cała dokładnie i prawidłowo działająca machina ruchu politycznego i społecznego, prac naukowych, a nawet uniesień artystycznych, jest może podziwu godną, ale przytem ogromnie nużącą przez swą jednostajność i powszedniość. Jest to coś jak trwałe i dobrze obmyślane istnienie jednostki, stworzonej do życia i świata, do ładu, porządku, spokoju i długiego bytowania na ziemi, która jest użyteczną, godną uznania, a nawet dobroczynną być może, ale nie daje pola do wzruszeń i zachwytów chwili. To też i zapał ich radykalnie się różni od ruchliwej wrażliwości Warszawy lub Paryża; wywołać go trudno, a skoro raz powstanie pod wpływem rzeczywistego uniesienia czy autosuggestyi, przypomina ciężko dyszącą potężną lokomotywę, która tak łatwo powstrzymać się nie da.

Świadkiem takiego zapału byłam niedawno podczas premiery Gerharda Hauptmana, wobec szczelnie zapełnionego teatru, w którym wszystkie miejsca od paru tygodni na przedstawienie to były rozchwytane.

Dla licznej dziś gminy bezwzględnych zwolenników młodego mistrza (Hauptman wygląda najwyżej na lat trzydzieści) każdy nowy jego utwór jest ważnym wypadkiem w dziejach sztuki niemieckiej. Przyznać trzeba, że tym razem najbardziej fanatyczni wielbiciele nie mylą się, każda sztuka bowiem jest rezultatem gruntownych studyów i dowodem olbrzymiego i wielostronnego talentu. Autor ten w ciągu krótkiego okresu scenicznego zawodu próbował sił w różnych kierunkach, a zawsze z ogromnem powodzeniem. Pierwsza sztuka jego, „Przed wschodem słońca,“ osnuta na tle społecznem, silnie jeszcze przypominała wpływ literatury skandynawskiej, a zwłaszcza Ibsena. Główną rolę grała w niej dziedziczność, nieusprawiedliwiona dostatecznie dla młodej dziewczyny, która padła jej ofiarą. W późniejszych: „Samotni“ i „Święto pokoju,“ wpływu tego znać coraz mniej. Dramaty są nawskróś nowoczesne, rozgrywają się na tle stosunków życia codziennego, dotykają tkwiących głęboko problematów psychicznych a jasnością zobrazowania i uplastycznieniem stosunków życiowych stoją prawdopodobnie wyżej od ponurych i mistycznych utworów mistrza norweskiego. W upoetyzowanej legendzie „Wniebowzięcie“ — wprowadza nas autor znów w inną sferę: świat czystej fantazyi i zachwytów nabożnych pierwotnej świeżej duszy. To też z tych wszystkich sztuk, wyjąwszy może pierwszą, nikt domyśleć się jeszcze nie mógł potężnej twórczości autora „Tkaczów,“ owej głębokiej, trafnie podpatrzonej psychologii masy. We wszystkich tych sztukach Hauptman złożył dowody, że jest pisarzem nawskróś współczesnym, odczuwającym kierunki literackie, prądy społeczne, psychologię masy i tajniki duszy indywidualnej.

Czy historyczna sztuka, z dziejów wojny chłopskiej, „Floryan Geyer,“ którą podziwialiśmy przed kilku dniami, jest nowem terytoryum, które zdobył sobie zwycięzki jego geniusz, czy też tylko powtórzeniem haseł, przemawiających z przedmiotowego obrazu „Tkaczów,“ rzuconych tym razem na tle dziejów XVI stulecia? Kto spodziewał się ostatniego, doznał zawodu, który wyraża się i w sprawozdaniu *Vorwärtsu*. Hauptman nie jest tu rzecznikiem żadnej idei, ale przedewszystkiem wiernym własnej indywidualności, objektywnym artystą. Tak samo jak „Tkaczów“ oparł na dokumentach życiowych, zaczerpniętych z dziejów pracy w czwartym dziesiątku stulecia — we „Floryanie Geyerze“ wprowadza na scenę prawdę historyczną, zbudowaną na dowodach z XII-go stulecia, w które dzieje wojny chłopskiej, chociaż mylnie i jednostronnie pojmowane aż do ostatnich czasów, obfitują przecież prawie nie mniej od wypadków współczesnej nam epoki papierowej. Jak zwykle w czasach silnego wzburzenia umysłów, literatura bieżąca pierwszej połowy XVI-go stulecia rozrasta się do nieznanych dawniej rozmiarów. Oddziaływa tu silny prąd ruchu humanistycznego, silniejszy jeszcze w Niemczech potok reformacyi, wreszcie następujący potem ruch społeczny: wojna chłopska. Nie znano jeszcze gazet, nie za pośrednictwem prasy rozchodziły się przeto głosy polemiczne, projekty zreorganizowania państwa, konstytucyi, obietnice, czynione włościanom, a głównie pisma treści religijnej, lecz w postaci broszur, świstków ulotnych wszelkiego rodzaju i formatu, które kolportują roznosiciele wędrowni. I tego żywiołu nie brak w sztuce Hauptmana. Taka to literatura trafniej odtwarza wojnę chłopską i współczesny jej nastrój umysłów, niż uczynić to mogli urzędowi historycy i kronikarze. Na jej podstawie badaczom współczesnym odtworzyć się udało właściwą fizyognomię tej wojny, która nie była bynajmniej ruchem rewolucyjnym przeciwko władzy świeckiej i duchownej, ale społecznym, w imię zasad ewangelii i jednolitości państwa.

Ruch ten rozpoczyna się na granicach Szwajcaryi, we Frankonii i Szwabii, nad dolnym Renem, tam bowiem najdłużej (aż do XIV w.) utrzymali się swobodni kmiecie, a i po zamianie ich na poddanych wciąż mieli w pobliżu przykład wolnej Szwajcaryi, w której właściwie nigdy poddaństwa nie było. Nauka Lutra silnie ożywiła umysły. Chłopi, głosząc hasło równości, sądzili, iż postępują wmyśl Biblii, że ofiary ponoszą nietylko dla uzyskania lepszych warunków bytu materyalnego, lecz również dla podtrzymania reformacyi. Hasłem ich było, że nie chcą mieć nad sobą katolickich książąt duchownych, czy świeckich, lecz wiernego ewangelii, a więc reformowanego panującego. To też prawdziwym ciosem moralnym dla ruchu chłopskiego był fakt wyrzeczenia się wspólności z nim Lutra, który stanął po stronie książąt. Jakim duchem przejęty był ruch chłopski, świadczy najwyraźniej drobna broszurka, zwana „Dwanaście artykułów,“ której autorem miał być Wendel Hipler. W książeczce tej włościanie nie żądają nawet własności gruntów, ale tylko zniesienia uciążliwych dla nich praw pana, który na ich ziemi polował, w ich wodach ryby łowił, czyniąc przytem znaczne szkody. Nie protestują oni również przeciw pańszczyźnie, jako takiej, ale radziby ograniczyć ją do paru dni w tygodniu. Uznają jedność ojczyzny niemieckiej, władzę cesarza i żądają takich w dzisiejszym duch postępowych reform, jak jedność monety.

Zwolennicy ruchu, przejętego podobnemi hasłami, nie uważali się bynajmniej za buntowników, ale przeciwnie, tak byli przekonani zrazu o słuszności swej sprawy, o zgodzie cesarza, o przyzwoleniu Lutra, iż to głównie gromadziło szeregi i podtrzymywało nieśmiałych i niewyćwiczonych w walce. Obok włościan przecież, którzy walczyli za własną sprawę, w woj-

nie chłopskiej występują przywódcy rycerze, kapłani, którzy zasady demokratyczne wcielić chcieli w życie; niezgoda wśród nich, niechęć do uznania władzy jednolitej, zgotowała ostateczną porażkę chłopów i tryumf rycerstwa, które pokonanych zalało strumieniami krwi ich własnej.

Akcya sztuki Hauptmana rozpoczyna się już w 1525 r., a więc pod koniec wojny; autor przenosi nas do Frankonii, gdzie w szeregu wstrząsających obrazów przedstawia losy walczących partyj. Główny bohater, Floryan Geyer, postać legendowa, przywódca „czarnego szeregu,“ ukazuje się wciąż w czarnej zbroi, a choć nieustannie jest na scenie, nie czyni tak wielkiego wrażenia, jakby się tego można było spodziewać po bohaterze ludowym. Około niego obraca się cała akcya, na jego cześć śpiewają piosnki, od jego oręża oczekują zwycięztwa. Pochodząc z rodziny arystokratycznej, jako ostatni jej przedstawiciel, nienawidzi szlachty więcej niż włościanie i od początku staje na czele ruchu chłopskiego we Frankonii. Niepospolite zadanie miał też Emanuel Reicher, najsłynniejszy artysta teatru niemieckiego. Wykonał je świetnie, po napoleońsku stąpał po scenie, zwłaszcza przy spotkaniach z rycerstwem, dumny wyraz twarzy i poczucie godności i siły nie opuszczają go ani na chwilę.

Ale wracam do treści sztuki. Składa się ona z pięciu aktów i prologu, podczas których autor z historyczną wiernością prowadzi nas po różnych miejscowościach Frankonii i w każdej daje nowy komplet osób. To też na scenie jest wciąż ludno, gwarno, porusza się ta masa po mistrzowsku, z przedziwnem zachowaniem charakteru indywidualnego każdej jednostki. Osób przemawiających wyliczono na afiszu przeszło 60; to też widz natężać musi uwagę, aby sytuacye objąć właściwie i zrozumieć dyalekt staro-frankoński, używany przez pewne osoby. Uwydatnił tu autor wybornie psychologię masy, która po za tem, że z olbrzymiem natężeniem płuc i napięciem nerwów przemawia, unosi się, patosuje, wprowadza nas żywcem do owych dawnych czasów, kiedy namiętności były gorętsze, a głowy i serca podniecone walką wojenną. Partya chłopska zrazu zwycięzka pod Rotenburgiem, nie może się przecież zgodzić na powierzenie dowództwa jednemu, a przeciwko Floryanowi odzywają się głosy niechętne. Wśród nich jest i słynny Götz von Berlichingen, bohater dramatu Goethego, który u Hauptmana żadnej niemal nie odgrywa roli. Geyer, zniechęcony niezgodą i następującemi po niej porażkami, cofa się, ale na sejmie w Schweinfurcie znów czynnie występuje i walczy aż do ostatka.

Hauptman, jako doświadczony autor sceniczny, zachował główny efekt sztuki dla ostatniego aktu, który daje najwyższe podniecenie nerwów, wywołane przez cztery poprzednie. Rzecz dzieje się na zamku szwagra Floryana; wśród komnat staroświeckich siostra jego, odziana w strój współczesny, oczekuje męża, który ma wrócić z pola bitwy. Ów Grumbach z początku przyjaciel włościan, przerzucił się był na stronę szlachty, skoro wojna przybrała charakter wyraźniejszy; żona zaś jego słysząc, że Geyer nie oszczędza zamków rycerskich, ani głów, wyklina brata. Grumbach w towarzystwie rycerstwa, pijanego orgią krwi i zwycięztwa nad przeciwnikiem, powraca do zamku. Zastawiają tam ucztę, piją, przyprowadzają dwudziestu pojmanych włościan, których na wety przeznaczono do stracenia. Słuszną robi uwagę dziennik *Tageblatt*, że w tej obdartej i zalęknionej gromadzie trudno poznać buntujących się włościan, którzy przed kilkudziesięciu jeszcze laty byli wolnymi kmieciami. Ale sztuka, osnuta na tle wojny chłopskiej, musiała nam przecież pokazać włościan, nie tylko ich przywódców. Geyer, wyczerpany czterodniową walką i tułaczką, ukazuje się także, a wtedy własna siostra zdradza jego kryjówkę przed biesiadnikami, którzy rzucają się nań z wściekłością. Kończy sztukę wspaniała scena śmierci bohatera, który teraz dopiero pokazał wielkość swego ducha.

Podobno nie można nigdy przewidzieć, jakie będą losy sztuk Hauptmana, gdyż ta oryginalna indywidualność autorska w sposób sobie tylko właściwy oddziaływa na publiczność. Zdaje się przecież, że ów wykrawek dziejów, który z taką powagą i wiernością odtwarza prawdy historyczne, doczekać się powinien słusznej oceny publiczności oświeconej i zdobyć stałe prawa obywatelstwa, tem bardziej, że gra artystów jest mistrzowską, epizodów pojedynczych ciekawych i oryginalnych mnóstwo; bez szablonu, bez szczypty romantyzmu, a nawet historyi miłosnej, przesuwa się przed nami poważny dramat dziejowy. Autor miał tu do pokonania bajeczne trudności, to też jeżeli nie wyszedł z nich równie zwycięzko, jak w „Tkaczach,“ na uwadze mieć należy, że mamy przed sobą pierwszą niemal próbę dramatycznego ożywienia dokumentów przeszłości, wskrzeszenia na scenie życia zbiorowego dawno minionej epoki w jednym z najciekawszych jej momentów.

Dr Zofia Daszyńska.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Pp. Ross i Moore. — P. Henryk Melcer.

Na przedostatni (8 b. m.) koncert Towarzystwa muzycznego szliśmy z większem niż kiedykolwiek zaciekawieniem wobec całkiem nieznanych nazwisk artystów, a powodem tego była i narodowość wirtuozów i rodzaj ich popisu. Pp. Ross i Moore są Anglikami, a wyznajemy otwarcie, że pierwszy raz mieliśmy sposobność słyszeć z estrady koncertowej przedstawicieli tego narodu, który dotąd ani obfitą w nieśmiertelne dzieła literaturą muzyczną poszczycić się nie może, ani genialnych wykonawców światu nie dał. Ciekawi zatem byliśmy, jaki pierwiastek charakterystyczny wniosą artyści angielscy, tłomacząc dzieła kompozytorów obcych — zdawało nam się koniecznie, że wykonanie ich musi być jakiemś odrębnem piętnem nacechowane. I tu spotkał nas zawód.

Odrębności nie brakło—ale tylko w formie wykonania. Pp. Ross i Moore grają na dwóch fortepianach, i to nie kompozycye przez autora na dwa fortepiany przeznaczone (i nie *unisono*, jak mylnie objaśniał program), ale utwory na dwie ręce napisane rozkładają na cztery. Jeżeli z jednej strony ułatwiają sobie zadanie przez taki podział pracy, to z drugiej potrzeba niezwykłej muzykalności i niesłychanego „zgrania się,“ aby przy takiem rozproszeniu na dwa instrumenty tego, co kompozytor dla jednego napisał — nie czuć było braków, aby melodya, zamiast jedną, dwiema rękami prowadzona, zlewała się doskonale z akompaniamentem, w ten sam sposób wykonywanym. A przedewszystkiem trzeba do takiego rodzaju interpretacyi jednakiej indywidualności wykonawców, o ile ta wogóle jednaką być może; muszą oni jednakowo, mniej więcej, odczuwać i rozumieć danych kompozytorów. Pod tym względem dobrali się pp. Ross i Moore znakomicie — grali we dwóch dzieła Mozarta, Sindinga (kompozytor norweski), Chopina, Moszkowskiego, Liszta, tak że chwilami, gdy słuchacz wzrok od nich odwrócił, zdawać się mogło, że jeden tylko siedzi przy... dwóch fortepianach. Lisztowi, Moszkowskiemu, a nawet Mozartowi ta „dwoistość“ wyszła na dobre, a przynajmniej nie przyniosła szkody. Chopinowi jednak krzywda się stała; na arcydzieła tego rodzaju, co preludye, etiudy, balada, porywać się nie należy — trzeba je wykonywać tak, jak wskazał twórca; wszelkie zmiany w formie ich tłomaczenia są spaczeniem myśli genialnego mistrza.

Po za tą odrębnością wykonywania są artyści angielscy fortepianistami, przewyższającymi średnią miarę; udowodnili to zarówno wyrobioną techniką, jak stylowem frazowaniem i niemałem uczuciem. A suma wrażeń, otrzymana z tego niezwykłego popisu? Ani zbyt wielka na razie, ani bardzo trwała. Można pp. Ross i Moore posłuchać z przyjemnością—zwłaszcza, jeżeli nie zechcą wypełniać sami całego programu, lecz dopuszczą dla urozmaicenia i innych.

Już nie uczucie prostego zaciekawienia, lecz szczerego zajęcia, z głębszego płynące źródła, zaprowadziło nas na koncert p. Henryka Melcera (d. 10 b. m. w salach Redutowych), laureata konkursu berlińskiego imienia Rubinsteina. Gdy powiemy, że program obejmował nagrodzoną przez cudzoziemców, *Trio* — zajęcie nasze będzie w zupełności zrozumianem.

P. Melcer jest wychowańcem tutejszego konserwatoryum i uczniem Zygmunta Noskowskiego. Szczególny, a niewątpliwie szczęśliwy zbieg okoliczności uczynił, że odznaczenie Melcera przypadło w roku jubileuszowym Noskowskiego, że zatem uczeń złożył mistrzowi najmilszy dar na obchód uczczenia jego zasług dla sztuki ojczystej. A dar to iście królewski — zarówno jednemu jak drugiemu chwałę przynoszący.

Młody muzyk zdumiewa ze wszech miar tem pierwszem większem dziełem swojem. Melodya świeża, oryginalna, nigdzie nikogo nie przypominająca, płynie swobodnie, przeprowadzona umiejętnie, bez rozwlekłości; pomysły ma kompozytor *swoje własne*, a tchną one porywającą werwą młodości. *Andante* zwłaszcza osnute jest na prześlicznym motywie, pełnym głębokiego liryzmu. W części pierwszej uderza siła dramatyczna i szerokie *cantabile*; scherzo drga rytmiką melodyi, a finał unosi temperamentem. Cała „faktura“ świadczy, że autor przewybornie radzi sobie z kontrapunktem, że techniczna strona wyrażania myśli trudności dlań nie przedstawia. Głosy na fortepian, skrzypce i wiolonczelę rozłożone są tak, że żaden instrument nie ma przewagi, żadnemu nie dzieje się krzywda. Młodzieńcze dzieło nacechowane jest powagą wieku dojrzałego, wielkim smakiem artystycznym, poparte dużym zasobem wiedzy muzycznej—słowem to utwór prawdziwego, samorodnego talentu. Wykonanie *Tria* (kompozytor, pp. Barcewicz i Ciuk) godnie odpowiadało jego wartości.

Jako wirtuoz, znany jest p. Melcer dobrze publiczności naszej. Gra jego szlachetna, inteligentna, uderzenie delikatne, ... lące zwłaszcza w *pianach*, a technika niepoślednia. Wszystkie te przymioty — spotęgowane nieustającą pracą — ujawnił koncertant w wykonaniu szeregu utworów Beethovena, Brahmsa, Chopina, Mendelssona, Griega i Liszta.

Warszawa złożyła na koncercie p. Melcera ponowny dowód swojej rzekomej muzykalności — sale Redutowe świeciły pustkami. Pewni jesteśmy, że gdyby powiedział kto o tem sędziom konkursu berlińskiego, żaden nie uwierzyłby, że warszawianie, mający za granicą, nie wiadomo z czyjej łaski, sławę muzykalnych — nie byli ciekawi posłyszeć, za co też rodaka nagrodzono na konkursie międzynarodowym.

Br. N.

ODCZYTY.

Bronisław Znatowicz: *Czego nas uczy chemia?*

P. Znatowicz ma niepospolity dar popularyzowania chemii, a przy tem posiada rzadką wprawę wykonywania doświadczeń, ilustrujących wykład. Wszystko obliczone jest nie tylko na minuty, ale nawet sekundy; ostatni wyraz objaśnienia: „wybuch“ brzmi jednocześnie z istotnym wybuchem. Robi to wrażenie nie tylko na słuchaczach przygodnych, ale i stałych. Pamiętamy owe doświadczenia w audytoryum uniwersyteckiem, gdzie p. Znatowicz, jako asystent, umiał wybornie pogodzić je najściślej z wykładem innego profesora. Odczyt niniejszy skupił w sobie wszystkie zalety: jasność, przystępność i doskonałe sformułowanie praw zasadniczych tej nauki. Słuchacze, nawet bez wysiłku myśli, najmniej przygotowani w tej mierze, mogli utrwalić w pamięci podstawowe typy związków chemicznych, poparte przykładami łączenia się antymonu z chlorem, wydzielania się srebra z roztworu pod działaniem kawałka miedzi; rozkładu malachitu na tlennik miedzi i kwas węglany. Za pomocą czułych przyrządów (spalenia wstążki metalicznego magnezu w kolbie szklanej), prelegent wykazał możność mierzenia i ważenia produktów, pochodzących z różnych procesów chemicznych, a niedostępnych dla zmysłów. Prawo niezniszczalności materyi również udowodnił za pomocą doświadczeń, np. spalenia bawełny strzelniczej i siarkocyanianu rtęci. Krótko lecz jasno mówca scharakteryzował na tle teoryi atomistycznej prawo stałości i wielokrotności stosunków.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Wydawnictwa zeszytowe: *Encyklopedyi rolniczej* wyszedł zeszyt 53 (do wyrazu *Łubin*): *Dziejów powszechnych ilustrowanych* wydane zeszyty 53 do 59.

— Kalendarze: *Łodzianin*, niewątpliwie najdokładniejszy ze wszystkich kalendarzów; *Strzecha rodzinna*, kalendarz najpopularniejszy (kop. 15).

— Towarzystwo pszczelnicze w Warszawie postanowiło wydawać własny organ p. t. *Pszczelarz i ogrodnik*.

— Od nowego roku zaczął wychodzić w Poznaniu tygodnik powieści p. t. *Wieczory familijne*, pod redakcyą p. Stanisława Wegnera. Jednocześnie ukazał się drugi tygodnik, ilustrowany, dla wszystkich stanów p. t. *Wiadomości*.

— Instytut malarzy akwarelistów Piccadilli w Londynie, otrzymał od jednego z tamtejszych obywateli 1,000 funt. ster (około 10,000 rubli) i ogłosił międzynarodowy konkurs na prace z zakresu malarstwa wodnego, tj. na akwarele. Mogą one być dowolnej wielkości i malowane na materyale według upodobania. Konkurs obejmuje IV działy. Do I-go zaliczone będą tematy humorystyczne, poważne, świeckie albo treści religijnej, sceny historyczne, z pożycia domowego, ilustracye utworów znanych poetów itp. Do II go tematy z dziedziny handlu, lub przemysłu. Do III-go obrazki z życia domowego, towarzyskiego, biblijnego. Nagród wyznaczono 15, z tych I-sza 100 funtów sterlingów, II-ga 50, III-cia 40, IV-ta 30, V-ta 25, VI dziesięć nagród po 20 funtów sterlingów. Dział IV-ty, do którego zaliczone będą wzory, ma 7 nagród: I sza 20 funt. sterlingów, II-ga 10 funt. sterling., III cia pięć po 5 funtów sterlingów.

— W Warszawie zawiązała się spółka wydawnictw świeckich w żargonie żydowskim.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

INTELIGENCYA I JEJ NATURA.

II.

Doba dzisiejsza jest epoką pośpiechu. Człowiek, jak lokomotywa, pędzi całą prężnością swoich nerwów i ażeby podołać tamu zadaniu, musi posiadać odpowiednią organizacyę duchową. Amerykanin ukuł termin dla oznaczenia umysłu, przystosowanego do gorączki życia tegoczesnego *railway-brain*— w wolnym przekładzie: mózgowice wieku kolejowego. Niejednego nerwy są przedwcześnie zużyte, niejeden mózg bywa rozsadzony, i żywy człowiek usuwa się od gwaru, jako zepsuta maszyna, i kona zwolna dotknięty nerwicą.

Nauka, dokładniej uczeni, spieszą się także. Hypoteza jest akcyą, która nie sprzedana we właściwej chwili, podczas okresu zwyżkowego, traci swoją wartość. Chodzi nie tylko o wykrycie tajników przyrody, ale równie o wczesne spienięzenie dokonanego odkrycia, biada zaś temu, kto będzie działał opieszale: inni uprzedzą go niezawodnie i odbiorą mu owoce jego zabiegów. Uczony przestał być niedołęgą, który siedzi nad wiedzą kwoli przyjemności kosztowania słodyczy pracy umysłowej. Jest on dziecięciem wieku Mamony i wie doskonale, że interes jest podwaliną bytu społecznego. Nie pociąg do wiedzy skłania badacza do snucia uogólnień; przeciwnie, teorya staje się dźwignią karyery—taka teorya, któraby oszołomiła tłumy nadzieją wyzdrowienia, oślepiła filozofujących blagierów swoją paradoksalnością lub podnieciła łapczywość kapitalistów. Taki stan rzeczy musiał oddziałać na wartość produktu naukowego. Czasy średniowieczne przekazały nam w spadku podania o ambicyi dawnych majstrów sztuki i nauki: zegarmistrz poświęcał życie całe wykończeniu jednego zegara; Kepler, zanim odważył się wygłosić swoje spostrzeżenia nad ruchem planet, siedział długo nad szczegółami i rzeźbił swoją teoryę. Taka sumienność zanikła, póki znowu spożycie nie ujarzmi produkcyi. Wraz z tandetą i pozorem w sferze towarów materyalnych, partactwo rozgościło się także w nauce, zwłaszcza zaś w filozofii i wogóle w humaniorach. Filozofowi tegoczesnemu więcej leży na sercu paradoksalność poglądów, aniżeli głębokość, więcej mu chodzi o tani rozgłos za życia, aniżeli o sławę u potomków, która nie da ani złamanego szeląga w teraźniejszości.. Powstaje powódź teoryj i teoryek, które giną podobnie prędko, jak ukazały się, niby rój motyli, kończących żywot po parodniowem frawaniu. Hypotezę pewną reklamują dzisiaj na wszystkie strony, jutro zaś jako łachman zniszczony, rzucają do śmietnika nicości i zapomnienia. Pozostają tylko wielkie teorye, takie jak Laplace'a, Darwina, które zmienione na groszaki, krążą. Reszta ginie bezpowrotnie w natłoku nowych doktryn i uogólnień, znikających rychło, ażeby dać na targowisku próżności miejsce innym kandydatom do reklamy. Taki „duch nowy“ w nauce — blagi i fuszerki — przy swojem ukazaniu się oburzył do żywego uczonych starego znaku, którzy wymagali ogledności wywodów i zgłębienia przedmiotu, przedewszystkiem zaś nie mogli przetrawić lekkomyślności, z jaką zestawiano fakty, byleby tylko wysłać na rynek towaru umysłowego nowe świecidełko. Stary Zöllner, umysł odważny a prawy, obrócił ostatnie lata swego życia na walkę przeciw tandecie, zakradającej się do prac naukowych. Dostało się Tyndallowi, który nie zbadawszy nawet zasadniczych faktów, dał hypotezę budowy planet; otrzymał cięgi chemik Hoffman, jeden z pierwszych, którzy zaczęli w Niemczech „miewać metodę“ — zyskiwania imienia przez blagę i uczty. Życie przyznało słuszność nowemu pokoleniu... Nastał wiek reklamy, partactwa i błyskotliwości. Kiedy rozmyślam nad dzisiejszą chwilą w filozofii i humaniorach, poniekąd nawet w naukach ścisłych, w mojej wyobraźni wynurza się osobliwy obraz. Olbrzymi salon: lśniąca posadzka, nowoczesne meble, portrety półnagich śpiewaczek z operetki, w pośrodku zaś grono „filozofów“ we frakach puszcza bańki mydlane. Jeden i drugi i dziesiąty siłą się, ażeby była ona duża, pełna złocistych barw i ściągnęła uwagę widzów.

Hypoteza jest wpływową dźwignią postępu wiedzy. Ale trzeba, aby była wynikiem zgłębienia przedmiotu, objęcia całokształtu faktów, powiązania szczegółów. Im nasz dobytek jest większy, tem trudniej o nią, bo wymaga ona coraz większej pracy i erudycyi, przewyższających z biegiem czasu siły pojedyńczej osoby. Doba nasza zaś płodzi innej wielkości uogólnienia, nieuwzględniające nawet faktów podstawowych—autor śpieszył się... Taka hypoteza jest trucizną. Nauka otrząsa się niebawem z tego śmiecia, ale szerokie koła inteligencyi, karmiące się „ostatnimi wynikami“ wiedzy, widzą tylko tę przelotność i efemeryczność. Nie zdają sobie sprawy z tego, że jestto tylko wytwór otoczenia społecznego i zaczynają brać taką niestateczność za jedno z wiedzą.

Jakąż więc naukę mogą wynieść tłumy z widoku figlarzy, tak lekkomyślnie igrających z najdroższym dobytkiem kultury? Umysł młody i wrażliwy, żądny prawdy i łaknący pracy w winnicy społecznej, zwraca się do skarbca wiedzy o filozofię życia, pogląd na świat, zasady moralności codziennej... „I idzie, i patrzy, i w burzy tej szuka“... Uwaga jego zatrzymała się na bańce mydlanej, puszczonej przez filozofa we fraku. „Mam prawdę,“ zawołał. Bańka prysła i z zalotnego świecidełka zamieniła się na kroplę marnego błota. Może inna będzie stateczniejsza. Nie! z niej także nie wyszło nic lepszego. Człowiek, który sięgnął głębiej, pod pozory, uporu się z trudnościami. Nie wszyscy jednak, nawet z pośród chętnych, mogą podołać temu zadaniu. Stan ich musi być rozpaczliwy: chcą wytknąć col swemu życiu i nie znajdują drogowskazów! Poeta opłakuje gorzko brak takiego steru:

> ...Co dziś nie zachwiane?
> Co wiecznie pewne? niezłomne? prawdziwe?
> Ach, gdybyś wiedział, jak drży serce żywe,
> Gdy je w dwie strony targają zwątpienia!...

Uczeni, w rodzaju Lombrosa, spełniający w dzisiejszem społeczeństwie rolę uprzątaczy padliny, zaliczają każdego krnąbrnego umysłem lub uczuciem ducha do obłąkańców i z lekceważeniem patrzą na tego rodzaju zrozpaczonych, swojemi cierpieniami świadczących o braku w własnej głowie piątej klepki. Tak daleko bowiem zaszliśmy w swoich poglądach na potrzebę busoli w życiu! Ku ich wielkiej uciesze mało jest takich straceńców. Rzesze inteligentne całem otoczeniem społecznem są przysposobione do lekceważenia zadań życia, z mlekiem matki przejmują się zasadą, że wszystko jest zachwiane: i pojęcia o honorze, i o uczciwości, i biorą tę „prawdę“ za punkt wyjścia dla swojej etyki. Doba tegoczesna jest okresem powszechnego dyletantyzmu: uczucia i czynu. Pod wpływem zaś widoku pryskających hypotez dołącza się do nich jeszcze nowy dyletantyzm—myśli. Filozofujący blagier wyciąga stąd dla siebie naukę, najbardziej licującą z jego spodloną duchowo-

scią: każda bańka musi zamienić się na błoto! Powstaje wyznanie wiary, które ogarnia tłumy i wżera się w całą ich istotę wewnętrzną: Specyalnego rodzaju sceptycyzm, niesłusznie mieszany z krytycyzmem, tj. ostrożnością w przyjmowaniu faktów i uogólnień.

Rozważmy naturę tej fałszywej „krytyczności“ umysłów.

Mam pod ręką ustęp z artykułu człowieka, który siedział nad nauką i coś odkrył. Mimo rozciągłości, przytaczam go całkowicie:

...„Kiedy w r. 1878 Hughes ogłosił wynalazek mikrofonu, uważałem za swój obowiązek sprawdzić rzeczywistość odkrycia. Tymczasem próby zrobiły fiasko! Blaga! pomyślałem sobie; jakim sposobem kawałek węgla mógłby przesyłać mowę. W kilka dni potem okazało się, że węgle były źle dopasowane, i że przy ściślejszych warunkach mikrofon przesyłał mowę. Gdy przyszedł fonograf Edisona, byłem już ostrożniejszy, pomimo że na kilka dni przedtem byłem gotów powtarzać twierdzenie, że blaszka żelazna nigdy nie zdoła naśladować przyrządu tak skomplikowanego, jakim jest krtań ludzka.

„Byłem też ostrożniejszy, nim na własne oczy zobaczyłem radyometr Crookesa: młynek, poruszany światłem, pomimo że niedawno jeszcze mechaniczne działanie światła uważałem za niemożliwe. Ale gdym czytał o książkach magnetyzerów, ja, który od 16 roku życia zajmowałem się magnetyzmem, że u niektórych osobników, bez żadnych mikrofonów i radyometrów, można wprost myślą wywołać ruchy i nakazywać czyny, mówiłem: Blaga! to się sprzeciwia fizyologii. W r. 1885 przekonałem się o rzeczywistości zjawiska.

„Niemożliwem jest tylko, żeby dwa razy dwa było pięć; niemożliwem jest sprzeciwiać się tak zwanym prawom przyrody. Ale ponieważ wszystkich praw przyrody, wzajemnie się ograniczających, nie znamy, bezpieczniej jest naprzód zbadać fakty, a potem dopiero zastanowić się nad ich możliwością, niż odwrotnie.

„Ma się rozumieć, nie znaczy to wcale, że należy być łatwowiernym!..“

Ustęp powyższy wykazuje nam, jak ktoś, pod wpływem gorączki odkryć, wyrobił w sobie pewną ostrożność sądu, którejby nie nabył, gdyby wynalazki, zamiast iść po sobie w krótkich odstępach czasu, były rozłożone na stulecia. Ale człowiek, oddany nauce, wie, gdzie się ma zatrzymać. Powściągliwość niknie, gdy przechodzimy do szerszych kół inteligencyi. Tam, w umysłach pozostaje jedno tylko wrażenie: chwiejności i niestateczności. Filozofujący blagier zapomina o tem, że jak pod najbardziej wzburzoną powierzchnią morza kryje się spokojna toń, tak samo w zakresie wiedzy szybkie i masowe bankructwo dorywczych hypotez nie niszczy stałości praw przyrody! Owszem, bierze on tę zmienność za najistotniejsze jądro wiedzy. Prostytucya umysłowa tak mocno wżarła się w całą jego naturę, że on, człowiek samym trybem życia pozbawiony dogmatu, jest przecież w jednem twierdzeniu dogmatykiem niepoprawnym: niema prawdy, i być nawet nie może. W swoim czasie wypadło mi dużo rozprawiać o doktrynie historycznej jednego z ekonomistów. Aż nazbyt często spotykałem pomiędzy zarzutami argument następujący: teorya ta nie może być słuszna, by wszystko musi w sobie fałsz zawierać. Może doktryna tak zwanego materyalizmu dziejowego jest błędną i jednostronną, ale powyższy sposób twierdzenia bardzo charakterystyczny. Umysł mędrka filozofującego przywykł do tego, że wszelka hypoteza jest bańką mydlaną, zgóry więc potępia on każde nowe uogólnienie, nie zadając sobie nawet pracy zgłębienia przedmiotu. Niema tam miejsca na wiarę i entuzyazm, nawet na czyn. Zbyteczna rozwodzić się, jak taki duch musi demoralizująco oddziaływać na umysłowość! Antropologia kryminalna w świecie występku odkryła szczególną zbrodniarzy: tchórzliwych złodziei. Nie uda się on na otwarte gościńce otwarcie rabować przechodniów, nie napadnie, nie wyłamie drzwi. Lękliwy, kradnie po cichu, jak pies na cudzem podwórzu. Sceptyk nowoczesny nie pogoni za teoryą, nawet nie zwątpi o niej stanowczo. „Chociaż z jednej strony — to przecież z drugiej“ — oto jądro jego wywodów, reszta zaś jest tylko dodatkiem. Nawet budowa sylogizmów odzwierciedla w sobie nastrój epoki! Naturę blagującego ceptycyzmu przedstawia przewybornie karykatura, od czasu spotykana w domach dla obłąkanych — maniaków zwątpienia. Chodzi po sali, zatopiony w domysłach: czy to chleb mam w dłoni — może nie chleb?..

„Nie należy być łatwowiernym!“ Daremna to przestroga. Bo w parze ze znikczemniałym sceptycyzmem idzie inny przymiot, stanowiący zresztą nieodzowne uzupełnienie: przesądność. Arystokracya ducha jest bowiem zabobonna, jak pospolici prostaczkowie w odludnem ustroniu. Naturalnie, nie wierzy ona we wróżby ze skrzypienia drzwi i głosu puszczyka, chociaż na upartego znaleźlibyśmy niejedną emancypantkę, która zerwała z dogmatami religijnymi, ale nie wyprowadzi się z mieszkania w poniedziałek, jako dzień feralny. Przesądność „śmietanki“ narodu jest inną. Mędrek łapie się na pierwszą przynętę, gdy dzienniki rozedmą ją do wielkości odpowiedniej. Koch przed paru laty puścił bańkę mydlaną: szczepienia odtratki przeciw lasecznikom suchot. Zdrowy krytycyzm podsunąłby każdemu pytanie, jakim sposobem, bez reformy w otoczeniu społecznem, można usunąć chorobę, której podstawą jest wycieńczenie organizmu z braku czystego powietrza i dostatecznego pokarmu, wątłości sił żywotnych itd.? Ale filozofujący blagier uwierzył, że nadszedł kres na suchoty. Odkrycie, rozgłoszone przez usłużnych plotkarzy w druku, znalazło niebawem do swego rozporządzenia znaczne fundusze. Geszefciarze, żyjący z rzemiosła lekarskiego, zaczęli tłumnie szczepić niezbadane leki, ogół zaś, szczycący się swoim sceptycyzmem, pozwalał czynić na sobie doświadczenia. Koch skompromitował się. Nie wątpię ani na chwilę, że gdyby ktoś inny ogłosił takie odkrycie w parę miesięcy później, zwabiłby także rzesze wierzących. Cecha to znamienna naszego wieku: nie ma on niekiedy ani grosza na istotne wielkie rzeczy, lecz gotów sypnąć miliony na reklamowane świecidełko.

Zdawkowy sceptycyzm, flirt w miłości, oportunizm w życiu a utylitaryzm w etyce, dyletantyzm myśli i tandeta w produkcyi towarów — wszędzie i zawsze zasada nadużywania dobrej wiary tłumów krętactwo. Na tem polega nasza oświata i nasz krytycyzm, praca i życie. Na takiem drzewie wyrosły owoce: zabobonność i przesądność!..

L. Krzywicki.

LISTY PETERSBURSKIE.

Odbył się tu w końcu z. m. koncert katolickiego Towarzystwa dobroczynności, przyczem strona artystyczna, jak zwykle, nie pozostawia nic do życzenia. Takie siły, jak pp. Wierzbiłowicz, Poznańska (Rabcewiczowa), Majboroda, Dłuski—same mogą cały wieczór zapełnić wobec najwybredniejszego gustu; tem bardziej zaś przy współudziale innych. Ale trochę zawiedliśmy się, bo nawet smyczek p. Wierzbiłowicza nie drgnął namiętnie i rzewnie, nie wdarł się do serca, jak to często się zdarza. Oklaski były długie i rzęsiste, ale nie brakło w nich tego zapału, który udziela się artystom i łączy ich z widzami. Jesteśmy chłodni, przyzwoici... jeszcze chwila i staniemy się najprzyzwoitszymi—śród zimnokrwistych. Elegia p. Dłuskiego, oddana przez panią A... i p. Wierzbiłowicza (wiolonczela) przy akompaniamencie autora, chociaż pod koniec śpiew i muzyka rozeszły się trochę (o pół taktu), ożywiła nas sennych. P. Majboroda nie dał ożywieniu ostygnąć—jeszcze chwila i zapał miał połączyć wszystko, ale, niestety, tej chwili nie doczekaliśmy. P. Kurnasowicz (skrzypce) odegrał ustęp z „Halki“ Moniuszki z wielkim wdziękiem, ale z większą troskliwością niż zapałem. Sala, jak zwykle, była przepełniona.

Tak dawno nie pisałem o zarządzie Towarzystwa dobroczynności, że obecnie muszę zaznajomić czytelników z jego członkami. Przedstawiałem kiedyś tę instytucyę jako świątynię klasyczną. Do dziś w jej stylu nic się nie zmieniło. Na straży stoją niby kolumny doryckie, u wejścia tacy mężowie jak pp. Gartkiewicz i Jocher: pierwszy z nich jest twórcą tej instytucyi, drugi zaś niezmiennym członkiem zarządu od początku jej istnienia. Trzecim — p. Kukiel, zabiegliwy, pełen zapału i dobrych chęci; na jego barkach spoczywa ciężar urządzania koncertów, amatorskich, teatralnych widowisk itd. Czwartym—p. Czechowicz, posiadający wielki zasób dobrych chęci i wytrwałości. Na wspomnianym koncercie wraz ze swą małżonką grał rolę gospodarza przy podejmowaniu artystów. Praca to bez parady, więc niewielu ma wielbicieli.

Petersburg jest miastem dobroczynnem. Jeżeli zsumujemy tych, co mogą dawać wsparcie i tych, co je otrzymują, wypadnie, że każdy dobry obywatel żywi i utrzymuje co najmniej jedną osobę. Prawda, pigułki do przełknięcia nie zawsze otrzymujemy bez cukru lub powideł, ale inaczej człowiek by się zakrztusił. Jednem z rozmaitych przypraw było i wydawnictwo kalendarza, obmyślane przez troskliwego członka Towarzystwa p. Kościuszkę-Wałużynicza. Niestety, p. Grendyszyński trochę popsuł mu szyki, ale to jest kwestya inna. Tam, gdzie się toczy walka o byt, o kawał chleba, trudno wymagać, ażeby człowiek niezamożny (a choćby i zamożny) poświęcił na cel dobroczynny swój dochód niewątpliwy. Takiej dużej pigułki nikt by z nas nie przełknął. Zresztą, ponieważ dorywcza korespondencya p. J., zamieszczona w № 50 *Prawdy*, sprawiła pewne wrażenie, rozważmy tę sprawę szczegółowo.

Sens jest taki: Właściciel tutejszej księgarni, p. G., wydawał corocznie maluczki kalendarzyk według starego stylu. Towarzystwo dobroczynności, poszukując źródeł dochodu, postanowiło wydawać kalendarz większy—informacyjny. P. G., gdy się dowiedział, że sprawa przybrała obrót pomyślny przeciął drogę to jest szybko wydrukował swój kalendarz informacyjny i puścił go w obieg wcześniej. Dziwnym zbiegiem wypadków format, objętość i ogólny wygląd tego kalendarza G. podobny jest do opóźnionego rocznika Towarzystwa dobroczynności.

Jeżeli odrzucimy wszelkie uprzedzenia, wszelkie *ale*... i porównamy z sobą oba wydawnictwa—przyjdziemy do przekonania, że każde ma swoje wady i zalety i że autor artykułu w № 50 *Prawdy* zbyt gorączkowo patrzy na sprawę... Być może zabiegliwość p. G. w danym razie nie jest zbyt sympatyczną, ale cóż temu winni jacyś *murzyni?* Nie wiem dlaczego, ale ten wyraz jest bardzo niesmaczny. Kto mówi o murzynach, ma podobno na myśli niewolników, to jest jednostki bez własnego sądu, etyki... Czyżby tak w samej rzeczy

było? Jestem przekonany, że współpracownicy *Kraju* nie zaprzedawali swej duszy.

Zresztą dziwnie to wszystko wygląda: prawie każdy z oświeconych mieszkańców stolicy wymyśla *Krajowi*, jego redaktorowi, jego współpracownikom a zarazem większość prenumeruje to czasopismo. Jakaś dziwna nielogiczność. Można by mniemać, że *Kraj* daje najświeższe wiadomości, ale któż w stolicy korzysta z nich? Na to są przecie gazety codzienne. Jeśli zaś zabarwienie chwiejne, pstre drażni kogoś, lepiej wcale nie czytać takiego tygodnika.

Już trzecia osoba prosi mię, ażebym przysłał na chwilę № 50 *Prawdy*, tak bowiem przyjemnie jest przeczytać to, co uważamy za słuszne i—wyobraźcie sobie—wszyscy ci panowie są prenumeratorami *Kraju*. Czyż nie ma prawa i *Kraj* patrzyć z góry na takich *przekonanych* przeciwników?

W przyszłym liście pomówimy obszerniej o zarządzie dobrami parafialnemi kościoła św. Katarzyny, czas jest oświetlić działalność syndykatu obecnego, słyszę bowiem tu i owdzie szepty... Niedawno, bardzo niedawno pewien jegomość z wielką werwą rozprawiał, że zarząd zupełnie niepotrzebnie zaciągnął długu 300 tysięcy rubli, że wszystko to ma pójść na marne itd...

Wrócić do dawnych czasów, gdy niespokojne łby ucinano, strzeż nas święta Gertrudo; ale gdyby tak przycinano trochę języka, możeby to nie zawadziło.

N. B.

LIBERUM VETO.

Fanfara karnawałowa.—Odkrycie Röntgena.—Fatalna rurka, zdradzająca tajemnice i okropne następstwa zastosowania jej na balach.— Płyty fotograficzne ze świata przemysłowo-handlowego.—Skargi czeladzi na panów.—Co może skruszyć twardą opokę.—Wyrzut sumienia i „Krysta“ Konopnickiej.—Piękny kwiat na ugorze, nieuprawianym przez reklamę.

Ze wszystkich introdukcyj reporterskich najbardziej zawsze mi się podoba ta, zapomocą której „sylfowie“ rozpoczynają zwykle symfonię karnawałową, a która w partyturze *Kuryera warszawskiego* brzmi obecnie następującemi, uroczystemi nutami:

„Wkraczamy tedy w pełny sezon karnawału, sezon zabawy swobodnej, tańca i uciechy.“

Ze wszystkich zaś ozdobników tej symfonii szczególny czar mają dla mnie krótkie, charakterystyczne dźwięki, które wyrażają nazwiska bohaterek karnawału: Fik., Mik., Wik., Psik. — jakaż to cudowna gama!

Wnosząc z odegranych już „sztuczek,“ a nadewszystko z ochoczego strojenia instrumentów orkiestry kuryerowej, należałoby przypuścić, że tegoroczne koncerty karnawału będą wspaniałe i że dostarczą nam tych szlachetnych uniesień, o które najbardziej i najpowszechniej dbamy. Więc cieszyłbym się tą nadzieją wraz ze wszystkimi, którym spełniać się będą rozkoszne marzenia, gdyby... ach, wstyd wyznać!.. gdyby nie przeklęta... rurka Crookesa. Słyszeliście już o niej zapewnie. Profesor uniwersytetu würzburskiego, Röntgen, zauważył, że z rurki tej, która jest pozbawiona powietrza i przez którą przechodzi prąd indukcyjny, wychodzą promienie niewidzialne dla oka, a dające się odbić na płycie fotograficznej i przechodzące przez wszystkie ciała, „z wyjątkiem kości i metali.“ Dzięki im można tedy fotografować przedmioty, zamknięte w pudełkach drewnianych, wnętrzu ciała ludzkiego itp. Odkrycie to, zaliczone do najwspanialszych błyskawic myśli ludzkiej w obecnym, dość chmurnym czasie, rzuciło nam swój grzmot dopiero przez dzienniki. Jakkolwiek głosy trąb reporteryi doskonale rozumiem, a nawet potrafię odgadywać jej rebusy karnawałowe, ułożone z Fik., Mik., Wik. i Psik., w sprawach naukowych jednak bywam zwykle względem tych heroldów niedomyślny i niedowierzający. Często bowiem nie mogę docieć, na czem właściwie polega istota obwieszczanego przez nich odkrycia, a równie często przekonywam się, że np. jakiś badacz znalazł bakteryę śliny, a reporterzy donoszą, że wynalazł sposób hygienicznego plucia. I tym razem nie pojmuję dokładnie, jak Röntgen używa rurki Crookesa dla przeświecania ciał i fotografowania wnętrza powłok nieprzezroczystych, ale przypuszczam, że on czegoś podobnego dokonał. A w takim wypadku nie mogę powstrzymać się od wykrzyku:

— Po cóż się tak spieszył z ogłoszeniem swego odkrycia? Czy nie mógł ten prawdziwy Filip z Konopi zaczekać z niem do końca karnawału?

Zaiste dziwny człowiek! Bo pomijam ten wzgląd, że wtedy, kiedy „wkraczamy w sezon swobodnej zabawy, tańca i uciechy,“ jest poprostu nieprzyzwoitością odciągać uwagę biesiadników ku jakiejś tam pustej rurce, ale proszę pomyśleć, jak fatalnie im zmąci wesołość ta okropna myśl, że wkrótce będą nawskróś przeświecani, a nawet że może już ktoś wnętrza ich odfotografuje podczas tegorocznych balów! Do dybła, z taką myślą można płakać, ale nie „swobodnie tańczyć.“ To też i *Kuryery* popełniły, mojem zdaniem, najwyższą nieostrożność, przynosząc złowrogą nowinę akurat podczas „wkraczania w pełny sezon karnawału.“ Należało o niej zamilczeć aż do postu. Ze wszystkich przykrości, jakie człowieka spotkać mogą, chyba nie najmniejszą jest ujawnienie jego wnętrza. Ile on biedak robi wysiłków, ażeby zakryć prawdę swej powierzchowności, okrywa się gęstemi tkaninami, ściska się w gorsetach i ciasnych butach, niepotrzebne doliny zamienia na góry, a góry na doliny, podwyższa swój wzrost i zamalowywa plamy skóry. Niejeden, a zwłaszcza niejedna musi codziennie stwarzać się przez kilka godzin z różnych materyałów. A tu jeszcze przychodzi ciekawy natręt, który za tą mozolnie złożoną istotą umieszcza zdradliwą rurkę, ukazującą nietylko to, co człowiek ma na sobie, ale i w sobie. Zachowując dyskrecyę jedynie względem kości, metalów, zresztą wszystko odsłania: mózg, serce, żołądek itd. Mniejsza o mózg i serce, bo niepodobna, ażeby myśli i uczucia odbijały się na płycie fotograficznej; ale ileż drażliwych tajemnic posiada żołądek! Wyobraźmy sobie na balu eleganckiego młodzieńca, który czaruje kobiety swojem zamiłowaniem zbytku, podczas gdy nielitościwa rurka ukazuje w całym jego żołądku tylko dwa postne kartofle! Rozpaczliwe położenie!

Trudno obliczyć wszystkie następstwa odkrycia Rontgena, wszakże jednem z nieuniknionych a najsmutniejszych byłaby konieczność wyrzeczenia się w znacznej mierze „konwencyonalnych kłamstw,“ które — jak wiadomo — są podwalinami budowy społecznej. Ludzie musieliby być znacznie szczersi, co równałoby się zupełnemu przewrotowi w układzie stosunków towarzyskich. Nie, lepiej nie myślmy o tych okropnościach, „wkraczając w pełny sezon karnawału.“

Trudno wszakże rozstać się z tą nieszczęsną rurką, która właściwie wynaleziona została już bardzo dawno, a obecnie tylko rozszerzono jej użyteczność. Każda redakcya odbiera płyty fotograficzne w postaci listów, w których odbite są niewidzialne dla ogółu sprawy i czyny. Na moim stole leży ich ciągle dużo, od kilku tygodni zaś najgłośniej z tego stosu odzywają się skargi pracowników handlowych (kantorowych). Jeden z nich ubolewa, że skutkiem bezmiłosierdzia i sobkostwa pryncypałów i braku solidarności między ich najmitami, kwestya święcenia niedzieli wisi dotąd na kołku, niby wonne sadło, do którego głodne myszy daremnie wspinają się i skaczą. W stosunkach większości biur i kantorów prywatnych panują jeszcze dziś resztki dawnego patryarchalizmu, kiedy to właściciel zakładu przemysłowego lub handlowego przyjmował „na naukę“ małego chłopca, obowiązanego naprzód spełniać najniższe posługi, zanim go, nieraz po wielu latach, mianowano oficyalistą. Pan od początku przyzwyczajał się traktować swego wychowańca protekcyonalnie i surowo, nie zniżając swej wyniosłości nawet wtedy, gdy *jego* chłopiec został *jego* człowiekiem; ten zaś również przyzwyczajał się w swym zwierzchniku widzieć pana i chlebodawcę, któremu winien wdzięczność i bezwzględne posłuszeństwo. Jakkolwiek dziś armia pracowników przemysłowo - handlowych rekrutuje się nie z takich kadetów, lecz z ludzi dojrzałych i do swego zawodu szkolnie przygotowanych, jednakże ów stosunek patryarchalny zachował dawne swe cechy. „Pryncypał“ wymaga zwykle od swego najmity nie tyle pracy i uzdolnienia, ile szacunku i uległości dla siebie a „życzliwości dla interesu.“ Ten i ów osobnik śmielszej natury, przyjąwszy obowiązki w kantorze, próbuje wyłamać się z poddaństwa i zamienić je na nieobrażający żadnej strony stosunek wymiany usług, kupna-sprzedaży pracy bez utraty godności; ale wkrótce przekonywa się, że cała atmosfera zakładu tłumi w nim te zachcianki i że przed obliczem pana wolno mu zachowywać tylko postawę sługi. Dla chleba zgina kark pod miarę innych i chowa swe buntownicze zamiary tak głęboko, ażeby ich nie dojrzał bystry wzrok pryncypała. Niewolnik jest zawsze, mniej lub więcej, kaleką moralnym, jest nim też „kantorowicz.“ Tem mianem objęto i napiętnowano bardzo liczną klasę ludzi, którzy po części znoszą niezasłużoną krzywdę, a po części usprawiedliwiają swoją niesławę. Bo nie wszyscy przepływają przez błoto rozmaitych mętów przemysłowo - handlowych bez nasiąknięcia niem głęboko. Młody człowiek, który ciągle pracuje w warsztacie oszustwa, krętaniny i podstępu, który sam przykłada rękę do tak zwanych „kawałów,“ który plami się i zaraża tą robotą naprzód przez posłuszeństwo i obawę utraty miejsca, a potem z nałogu i moralnego znieczulenia się, nie może ocalić swego charakteru i musi go skazić. Stąd taka masa nadużyć, popełnianych przez „kantorowiczów,“ którzy swym pryncypałom w ten sposób wypłacają się za naukę zepsucia. Rana ta podobno w ostatnich czasach zmniejszyła się, ale dotąd jeszcze pozostaje otwartą. Według zaś naszych korespondentów, których narzekania tu przedstawiłem, dopóty wszelkie reformy, dotyczące poprawy doli pracowników przemysłowo-handlowych (jak np. ich wypoczynek świąteczny) pozostaną nieziszczonem marzeniem, dopóty moralność tej warstwy społecznej będzie przepojona miazmatami, dopóki stosunek podwładnych do ich „szefów“ nie ulegnie radykalnej zmianie. I tu musi nastąpić zniesienie poddaństwa, wyzwolenie z upokarzającej zależności.

Powtórzywszy jednakże te gorzkie żale naszych korespondentów, winienem wyleczyć ich ze złudzenia, ażeby morał, z jakiejkolwiek mównicy padnie i jakkolwiek będzie wymotywowany, mógł szybko i skutecznie oddziałać. Człowiek jest tak twardą opoką, że wprawdzie ciągle kapiące krople rozumnych słów ją drążą, ale ona pęka i przekształca się tylko pod wpływem siły. Taką zaś siłą w obecnym wypadku może być dojrzała i należycie ujawniona świadomość swojego położenia i swoich praw śród tej klasy ludzi, która

już czuje własną krzywdę i poniewierkę. Do skarżących się więc rzec można: bądźcie zawsze ludźmi, a prędzej czy później za ludzi będziecie uznani; nie wyrzekajcie się za nic swej człowieczej duszy, a ona w końcu musi być uszanowana.

Spostrzegam, że gram rolę trapisty na weselu. Aż mi wstyd, że rozprawiam o tak nudnych i smutnych rzeczach, kiedy „wkraczamy w pełny sezon karnawału.“ Ale już więcej grzeszyć nie będę. Miałem zamiar poznajomić was szczegółowo z „Krystą“ Konopnickiej w grudniowym zeszycie *Biblioteki warszawskiej*, ale zrzekam się chęci, ażeby nie psuć tragedyą zapustnej uciechy i poprzestaję na ogólnikowej radzie: przeczytajcie ten maleńki utwór, malujący nieszczęście prostej chłopki, a przyznacie mi może, że na naszej niwie literackiej istotnie bez uprawy i nawozów reklamy, na zapuszczonym przez nią ugorze, wyrastają czasem prawdziwe i przecudowne kwiaty.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Piotrków. Niedawno założona kasa przemysłowców rozwija się pomyślnie; liczba członków a jednocześnie i kapitał obrotowy, ciągle wzrasta. Najwyższa norma jednej pożyczki wynosi 500 rs. Komitet postanowił płacić: za kapitały, umieszczane w kasie z terminem rocznym, 5% z półrocznym, 4% trzymiesięcznym i 3% za wypowiedzeniem jednodniowem. — Dyrekcya szczegółowa piotrkowska Towarzystwa kredytowego ziemskiego pociągnęła do odpowiedzialności sądowej rozmyślnych niszczycieli dóbr Wolka w pow. Noworadomskim.

Dąbrowa górnicza. Przedmiotem obecnego zjazdu górników jest wyłącznie sprawa rozszerzenia robót podziemnych w kopalniach. Podług przepisów nie wolno było wydobywać pokładu grubszego nad 5 metrów, pomimo że zazwyczaj jest on znacznie grubszy. W komitecie zjazdu uznano za możliwe oznaczenie normy 10 metrowej.

Kijów. W okolicach Humania sprzedano kilka dóbr ziemskich przez licytacyę. Piękny majątek Chrystynówka ze stacyą węzłową kolei sprzedał p. Łoziński z wolnej ręki znanemu milionerowi kijowskiemu, Tereszczence, po cenie 167 rs. za dziesięcinę. Milioner ten w ostatnich latach nabył już olbrzymie przestrzenie ziemi i nie poprzestając na tem, prowadzi obecnie układy o kupno wzorowego majątku Werch — niaczka z cukrownią (własność spadkobierców K. Hillego z Królestwa).—Rozszerzenie gmachu, mieszczącego progimnazyum męskie, w Humaniu, wkrótce będzie ukończone i dzięki temu od wakacyj ma być otwarta klasa 7-ma, w r. 1897 — 8-ma.

Petersburg. Sfery ministeryalne ogłosiły następujące rozporządzenie: 1) nocna praca kobiet i niedorostków w zakładach, zajmujących się produkcyą juty i wyrobów z konopi, a nadto tam, gdzie z pracy takiej nie korzystano dawniej, nie może być dozwoloną; 2) w tych zakładach gdzie robota kobiet i niedorostków odbywała się dotychczas, winna być zawieszona od chwili odnowienia kontraktów w r. b.—Przewleczona przez wszystkie instancye głośna sprawa o miliony, pozostałe po zmarłym w Krymie szlachcicu, M. Skirmuncie, zbliża się wreszcie do rozwiązania. Po dziesięcioletnich procesach, w roku ubiegłym senat uznał za jedynych spadkobierców siostry: Katarzynę i Elżbietę Skirmuntówny i ich brata przyrodniego, Sergiusza. Mimo to sąd okręgowy symferopolski, gdy spadkobiercy zwrócili się z żądaniem wprowadzenia w posiadanie, odmówił ich prośbie, a izba sądowa odeska decyzyę tę potwierdziła. W d. 10 stycznia sprawa ta po raz trzeci była rozpatrywaną przez cywilny departament kasacyjny senatu rządzącego, który unieważnił wyrok izby odeskiej.

SPRAWY EKONOMICZNE

Z WYCIECZKI.

II.

Bardzo skromnie przedstawia się dział machin i narzędzi, tak że aż w poczuciu tej skromności umieszczono go na szarym końcu. Złożył się on z garstki firm, zebranych przypadkowo. Parę młocarni zwraca uwagę, szczególnie cepowa, tj. posiadająca przy bębnie ruchome kije żelazne czyli cepy. Odznacza się ona tą zaletą, że oprócz żyta, pszenicy itd. może młócić również dobrze groch, soczewicę i wszelkie inne rośliny, dla których wogóle młocarnie nie są przystępne. Jedna z fabryk południowych wystawiła żniwiarkę na wpół ręczną (bez przyrządu zrzucającego), która pomimo cech pierwotności ma podobno wielkie powodzenie. Parę fabryk wykazało swą wielostronność, niezbyt dla nich pochlebną i niekorzystną dla spożywców, zwłaszcza ziemian, gdyż maszyny i narzędzia rolnicze są traktowane po amatorsku. Większość firm przy tem ujawniła brak samodzielności w pomysłach, natomiast—wielką dążność do naśladownictwa obcych wyrobów. Oczywiście krajowe stoją znacznie niżej od pierwowzorów i niewiele są tańsze. Jedna firma z Libawy wystawiła dobre, praktyczne tricury—do sortowania ziarna, które na wielkich obszarach państwa mają małe zastosowanie, gdy zagranica od pół wieku uważa je za narzędzie niezbędne.

Pod skrzydłami ziemstw umieszczono gałąź przemysłu drobnego—także machiny i narzędzia rolnicze, wytworzone w małych fabrykach i warsztatach, w części przez lud i wyłącznie dla ludu. I tutaj okazy przygodnie zgromadzone nie dają jasnego obrazu. Nie mogliśmy wysnuć dokładnego pojęcia o rozwoju i stanie produkcyi, o jej najwybitniejszych ogniskach, poszukiwaniu tych lub innych narzędzi. Z tego wszakże, co dała wystawa, widzimy, że wytwory ściśle są zastosowane do warunków danej miejscowości, jak np. dwukołowy jednolemieszowy pług syberyjski, zagłębiający się na 3—4 werszki i odchylający skiby szerokości 10—14 werszkowej. Narzędzie tego rodzaju z gleby kulturalnej nie miałoby tam żadnego znaczenia. Godne uwagi są również ceny przystępne; tak np. mały pług jednokonny drobnego przemysłowca Jakowlewa, kosztuje 3 r. 50 k. Wyroby włościańskie w tym zakresie nie odznaczają się elegancyą, są ciężkie, niezgrabne, ale tanie i praktyczne, a co najważniejsza—odpowiadają potrzebom gospodarki w obecnym stanie. Drobny przemysł, służący rolnictwu chłopskiemu, ma przed sobą jeszcze szanse rozwoju i długi okres istnienia; gospodarka bowiem na znacznych obszarach nie prędko zetknie się z produkcyą wielkofabryczną oraz nie łatwo ulegnie przemianom warunków kulturalnych i ekonomicznych.

Przy sposobności potrącę o jeden szczegół uchwały zjazdu ziemiańskiego, jako ściśle związany z powyższym działem. Mianowicie postanowiono starać się u władz ministeryalnych o usunięcie zbyt zawiłej formalistyki przy zaciąganiu pożyczek w Banku państwa na zakup machin i narzędzi rolniczych. Nowe przepisy nie są dostatecznie wyjaśnione, skutkiem czego ziemian spotyka częstokroć zawód: odmowa, a nawet w razie przyznania pożyczki trzeba dużo czasu tracić na załatwienie wszelkich ceremonij, jeździć po trzy lub cztery razy do miasta, i to w chwili najpilniejszych robót. Postanowiono starać się jeszcze i o to, ażeby rękojmia materyalna, tj. wartość inwentarza żywego, nie przekraczała sumy, pożyczonej z Banku na przedmioty do użytku gospodarstwa.

Miejsce machin i narzędzi rolniczych po kilku dniach zajęły okazy z obór i stajni, które nawet nie zasługują na szczegółowe przyjrzenie się gdyż jeszcze mniej niż inne działy dają pojęcia o stanie i środkach hodowli w całem państwie. Sprowadzono tylko wyjątkowo piękne okazy bogatych gospodarstw i ferm. Lepiej już wygląda dział owczarski bo, pomimo że także jest bardzo szczupły, zebrał jednak dość dużo odmian, charakteryzujących różnorodność w tej gałęzi hodowli. Po za garstką wszakże okazów żywych, cała działalność specyalnego komitetu w tym zakresie tudzież zbiory zasługują na baczną uwagę. Mapy przedstawiają poglądowo przerabianie wełny merynosów, wytwarzanie tkanin; w ogóle cały proces produkcyi fabrycznej bez żadnej domieszki. Między innemi na wystawie umieszczono próbki, dające pojęcie o fałszerstwie, tj. wyrobach z wełny sztucznej, uchodzących w handlu za towar „prawdziwy.“ Fałszerstwo to w Cesarstwie doszło do znacznych wymiarów, ze stratą ubogiej ludności, która kupuje drogo lichy towar, ulegający szybkiemu zniszczeniu.

Słów kilka należy się komitetowi, twórcy tego działu wystawy. Od r. 1833 do 1845 przy Towarzystwie rolniczem w Moskwie istniało Towarzystwo hodowli owiec. Posiadało ono własny organ, zbierało dane, dotyczące warunków tej gałęzi gospodarki w państwie, opisywało wzorowo owczarnie, sprowadzało merynosy z zagranicy, urządzało wystawy, wreszcie stworzyło stowarzyszenie akcyjne dla sprzedaży wełny. Przejście punktu ciężkości owczarstwa z guberanij środkowych na południe było przyczyną upadku tej organizacyi, a raczej objęcia roli podrzędniejszej, już pod nazwą oddziału Towarzystwa podniesienia hodowli inwentarza. Nieurodzaje zboża i zniżka cen wywołały w późniejszych czasach znowu na porządek dzienny sprawę hodowli bydła. R. 1893 i 94 moskiewskie Towarzystwo rolnicze zajęło się zbadaniem przyczyn, wpływających na upadek gospodarki, pielęgnującej owce cienkowełniste. Materyały zebrane wyjaśniły, że ten właśnie gatunek zasługuje na usilne krzewienie tudzież pomoc ze strony rządu. Pod wpływem ożywienia owej kwestyi wskrzeszono komitet, który rozpoczął swoją działalność w grudniu r. 1894. Liczy on dziś wraz z oddziałem kaukazkim około 200 członków, śród których jest wielu doświadczonych specyalistów i fabrykantów. Dotychczas główną działalnością tej instytucyi jest urządzanie wystaw, które oprócz popierania hodowli mają na celu ściąganie jak największej liczby interesowanych i powoływanie ich do obrad komitetu. To właśnie najłatwiejsza droga, prowadząca do należytego wyświetlenia stanu i potrzeb gospodarki. Nadto, zadaniem tej organizacyi jest wyszukanie środków naprawy handlu wełnianego, który w ostatnich czasach zaczyna upadać; kupcy i fabrykanci zagraniczni prawie zupełnie przestali odwiedzać rynki w Charkowie i Rostowie nad Donem. Po za tem komitet postanowił dopomagać do zaaklimatyzowania pożytecznych ras cienkowełnistych, wreszcie zamierzył stworzyć szkoły owczarskie w różnych ogniskach hodowli.

Sądzimy, iż szczegóły powyższe nie będą obojętne i dla naszych hodowców pod wielu względami; mogą one dać jakieś nowe myśli lub punkt wyjścia przy organizacyi środków gospodarskiej owczarskiej

i wełnianej, która zawsze z towarzyszeniem narzekań wychodzi na porządek dzienny podczas jarmarków dorocznych. Typ owiec cienkowełnistych prawie zupełnie zniknął w guberniach wschodnich i środkowych, pozostał zaś tylko w Królestwie Polskiem. Nasi rolnicy są zbyt jednostronni, bo zwracają uwagę jedynie na strzyżę wełny, a nie myślą o owczarniach zarodowych, które pozwoliłyby u nas poprawić rasy tudzież zaopatrzyć w pożądane gatunki gubernie powyższe. Wreszcie nie słyszymy o wyrobach w celach handlowych serów owczych, bardzo poszukiwanych na wielu rynkach.

Dwa bardzo ważne oddziały: nawozów sztucznych i— gleboznawstwa, zajęły wybitne miejsce na wystawie, dały bowiem obraz badań naukowych, stanu i warunków tej dziedziny w praktyce. Jest to grupa, zdaje się, pierwszy raz na wystawie tak poważnie i szeroko traktowana; zwłaszcza fosforyty zwracają szczególną uwagę. Mapa, starannie opracowana, wykazuje dokładnie źródła tego bogactwa w państwie; prawie każda gubernia ma swoje pokłady. Prócz tego p. Janowski, prezes komisyi specyalnej, zebrał bogatą kolekcyę (87 wzorów) fosforytów, ze szczegółowym procentowym wykazem kwasu. Diagramy dowozu i wywozu środków sztucznego użyzniania, są poniekąd uzupełnieniem tego materyału. Widzimy z tych źródeł, że od r. 1873 do 1893 import wzrasta, następnie spada, skutkiem pogorszenia się warunków rolnictwa. Wywóz waha się między 2,400,000—3,200,000 pudów rocznie i tylko węgiel kostny (odpadki z cukrowni) tudzież surowych kości, stale się zmniejsza (r. 1883 — 1,250,000 pud., r. 1894 — 300,000). Do r. 1890 wywożono fosforyty surowe, w ostatniem zaś pięcioleciu głównym przedmiotem eksportu jest mąka fosforytowa, do czego się przyczyniło cło na pierwsze.

Podczas wystawy wydano olbrzymią księgę (745 stronic) p. t. „Prace komisyi oddziału nawozów sztucznych“ (pod red. p. Janowskiego). Jest to materyał nagromadzony z odpowiedzi, stosunkowo nielicznych (500 na 5,000 zapytań), ale dość szczegółowych, nadesłanych przez ziemstwa, właścicieli rolnych agronomów, towarzystwa gubernatorów, fabryki i składy. Szczegóły te oświetlają ciężką pracę ziemian, zużywanie energii, czasu i pieniędzy na próby, czynione po omacku wobec braku tych środków, jakimi rozporządza rolnictwo na zachodzie Europy i w Ameryce: stacyj. pól doświadczalnych, pracowni itd. Próby te wszakże, prowadzone na oślep, dały dużo cennych wskazówek. W całej sumie odpowiedzi, 80% z miejscowości nieczarnoziemnych stwierdza niewątpliwy dodatni wpływ mąki fosforytowej. Taka sama ilość zdań z miejscowości czarnoziemnych wyraża ujemne rezultaty. Nadto otrzymano opisy prób z gipsem, glaukonitem, kainitem itd. Poruszono przytem w owych wykazach inne kwestye: stan gospodarstw, wady w handlu nawozowym, brak składów odpowiednich, taryfy wysokie itd. Wszystkie zaś żądania dadzą się sformułować w sposób następujący: potrzebne są składy przy stacyach kolejowych tudzież przy zarządach gminnych; miejsca kontroli dla handlu nawozem, pola doświadczalne dla wypróbowania różnych sposobów użyzniania, odpowiadających warunkom danej miejscowości; kredyt bankowy w tym dziale, uregulowanie handlu, wydawnictwo podręczników przystępnych, organizacya kierownictwa w zakresie doświadczeń.

W dziale użyzniania sztucznego znaleźliśmy obraz pól w okolicy Odesy i ich owoce—piękne, olbrzymie okazy warzywnictwa. Grunty te, przed kilku laty jeszcze zupełnie jałowe przesiąknięte solą, dziś dają ogrodnikom obfite plony a zarządowi miejskiemu dość znaczny dochód (z 230 dzies. 30,400 rs. brutto). Takie świetne rezultaty wynikły z użyznienia owych pól za pomocą kanałów otwartych, odprowadzających nieczystości miejskie.

Bardzo jest pożyteczny i bogaty dział gleboznawstwa, który skupił wszelkie wyniki pracy i poszukiwań w tym zakresie. Obok owoców badań naukowych przedstawiono także i środki pomocnicze w tej mierze, różne przyrządy; znaleźliśmy tam całe laboratoryum agronomiczne uniwersytetu miejscowego i bardzo chętnych do udzielania objaśnień—profesorów i studentów. Śród wielu przedmiotów umieszczono mapę gleby Rosyi europejskiej, wykazującą wszystkie miejscowości z gruntem dokładnie zbadanym i poznanym. Jest to bodaj jedny dział, który systematycznie zebrał próbki z różnych prowincyj państwa wraz z dokładnymi opisami. Między innemi jest także kolekcya fauny i flory, wpływającej na tworzenie gleby. Z Królestwa Polskiego znaleźliśmy okazy wystawione przez Instytut rolniczo-leśny w Nowej-Aleksandryi. Dział gleboznawstwa niezależnie od powyższej osobnej grupy, rozproszył się w wielu miejscach, szczególnie śród ziemstw.

Niepodobna w krótkiem sprawozdaniu wyczerpać wszystkiego, co się znalazło na wystawie; pomijamy rzeczy mniej ważne, nie tykamy wcale działu gospodarstw prywatnych, ani też hodowli ptactwa domowego, chociaż dużo dałoby się o tem powiedzieć. Nie będziemy również roztrząsać owoców działalności komitetu oświaty ludowej, bo to jest dziedzina zasługująca na osobne traktowanie. W dziale klimatologii, oprócz p. Kolomijcowa, wystawili rezultaty badań dotyczących gradu: p. Lutecki (tablice na mocy 10-letnich badań głównego obserwatoryum fizycznego); p. Targoński (zilustrował teoryę wpływu gruntu i jego poziomu na tworzenie się gradu). Osobne miejsce zajmuje zbiór entomologiczny prof. Lindemana, owoc pracy 30-letniej, obejmujący około 5,000 owadów szkodliwych. Oprócz tego wystawił, liczne broszury (studya własne nad szkodnikami) i mapy w tym zakresie. Całą tę kolekcyę ofiarował szkole rolniczej w Moskwie.

W dziale jedwabnictwa zasługuje na uwagę *scorzonera hispanica*, której liście wybornie zastępują morwę. Próby czynione w moskiewskim instytucie rolniczym wykazały, że jedwabniki można przyzwyczaić do karmienia się tą rośliną. Wywoła więc ona z czasem wielki przewrót w hodowli; jako mniej wymagająca zabiegów i dogodniejsza—usunie morwę.

Z Królestwa Polskiego wzięła udział niewielka garstka eksponentów; owce negrettti wystawił p. Gustaw Mazurkiewicz z Niedrżwicy (gub. Lubelska). W dziale zbóż i roślin: pd. Gustaw Iłyski ze Stopnickiego (buraki cukrowe) Jan Jezierski. również ze stron siedleckich (buraki, marchew pastewna, pszenica, jęczmień); Józef Kolski z Wrzącej—pow. Turecki, gub. Kaliska—Maryan Sokołowski z Wysocina pod Brześciem Kujawskim—Adolf Szyc z Biały Wielkiej (gub. Kieleckiej), Gustaw Mazurkiewicz. Wł. Kleniewski z gub. Lubelskiej wystawił chmiel, Karol Zawada z Częstochowy—drzewa owocowe. Wystawcy z innych stron: hr. Chreptowicz, właściciel dóbr. w gub. Mińskiej, Wileńskiej i Witebskiej, L. Rogoziński z gub. Kijowskiej, Zdzisław Korwin Gąsiewski, właściciel ziemski z gub. Niższo-Nowgorodzkiej, Bogusław Łempicki z gub. Petersburskiej, Aleksander Bukowski z Wilna („miód litewski“—napój). W dziale nauczania ludowego: szkoły fabryczne Scheiblera oraz Heinzla i Kunitzera z Łodzi i Tow. akcyjn. „Zawiercie.“ Profesor Z. Woysław wystawił przyrządy do wiercenia studzien artezyjskich, wreszcie inż. Słowikowski urządził urządził naturalnej wielkości tani, szeroki tor kolejowy, który może oddać wielkie usługi przemysłowi wiejskiemu. Wartość drogi z taborem wynosi 800—2,500 rs. (wiorsta), ze sprawnością przewozową 1—3 mil. rs. rocznie.

Osobny dział stanowią szkoły rolnicze tudzież młynarska, o których pomówimy przy sposobności.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Szkoły. Na początku przyszłego roku szkolnego w zakładach naukowych rolniczych, wyższych i średnich, wprowadzony będzie wykład historyi rolnictwa i prawodawstwa specyalnego.

— Do warszawskiej szkoły felczerów uczęszcza pięć kobiet, posiadających świadectwo z odbytej praktyki szpitalnej.

— Majstrowie krawieccy poruszyli sprawę założenia w Warszawie szkoły krojczych.

Dr. Zofia Daszyńska, nasza współpracowniczka, w stowarzyszeniu berlińskiem „Frauenvohl“ wygłosiła odczyt „O roli ekonomii politycznej w wychowaniu kobiety.“ Na stałe jej wykłady ekonomii politycznej (dwa razy tygodniowo wieczorami w gimnazyum realnem Falka) zapisało się sporo słuchaczek.

Mianowania. Pułkownik K. Gresser objął obowiązki oberpolicmajstra m. Warszawy.

Dobroczynność. Zatwierdzono opodatkowanie biletów wyścigowych na rzecz Towarzystwa dobroczynności.

— Rodzina zmarłego niedawno Henryka Natansona ofiarowała 15,000 rs. na cele dobroczynne, między innymi 1,500 rs. na rzecz Tow. dobroczynności w Warszawie, z tego 1,000 na czytelnie bezpłatne; 500 dla Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami, tyleż na Schronienie nauczycielek, 3,000 dla Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyi rozpocznie r. b. w kraju zachodnim budowę sieci szos, których długość wyniesie 1,153 w. a koszt $2^1/_4$ mil. rs. Szosy będą budowane w ten sposób, ażeby później łatwo było w ich kierunku przeprowadzić koleje.

— Koleje: Terespolska i Poleskie wprowadzają specyalne wagony towarowe do przewożenia ryb.

— Zabroniono podróżnym palić w wagonach lampki i świece.

— Poznań ma połączenie telefonowe z Berlinem, wkrótce zaś otrzyma tę komunikacyę z Wrocławiem.

Wystawy i zjazdy. R. b. w Helsingforsie otwarta będzie międzynarodowa wystawa rybołówstwa.

— Komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa uchwalił urządzenie w Warszawie wielkiej wystawy wyrobów z drzewa (w maju i czerwcu).

— Członkowie Tow. łowieckiego w Warszawie urządzą wystawę ptactwa i zwierząt drapieżnych, szkodzących rozwojowi gospodarstwa myśliwskiego.

— W Moskwie otwarto zjazd profesyonalistów.

Wypadki. W Ostrawie (na Morawach) w kopalni węgla kolei Ferdynanda wybuchł pożar; 931 górników uratowano. W głębokości 250 metrów znaleziono 14 trupów.

Zmarli. Wincenty Richling, w Krakowie, profesor gry na organach w konserwatoryum; muzyk i kompozytor.

— Tomasz Łosik, w Krakowie, artysta malarz.

— Paweł Verlaine, w Paryżu, poeta - symbolista. Znany z życia awanturniczego i nałogowego.

— Filip Reclam, w Lipsku, głośny nakładca niemiecki, który przyczynił się do stworzenia taniej biblioteki powszechnej, przystępnej dla warstw najuboższych.

Odpowiedzi Redakcyi

Panu L. J. w Karl. To nie utwór artystyczny.

Panu B. B. w Zd. Wiersze Pańskie, nieraz bardzo ładne w obrazowaniu (np. Burza), mają mnóstwo drobnych usterek, których tu wyliczać nie możemy, a które odejmują im artyzm. To jakiś wyraz niepotrzebnie się powtarza, to rytm jest nieprawidłowy, to rym zbyt pospolity, to porównanie niedość trafne itd. Wogóle

pod względem formy wymagają staranniejszego i kunsztownlejszego opracowania.

Pani Stanisławie P. Pisma tego prawie nie znamy, a tych artykułów nie czytaliśmy. Gdybyśmy zaś chcieli zadośćuczynić żądaniu Pani, musielibyśmy szczegółowo porównać książkę ze sprawozdaniem, co by nam zabrało czasu za dużo, a mamy go za mało. Czemu Pani sama tego nie uczyniła i nie przesłała nam uwag krytycznych?

Prenumeratorowi z Twardej. Tak specyalnych wskazówek udzielić Panu nie możemy. Powinien się Pan po nie zwrócić do tego ciała, które Pana egzaminować będzie.

Dr. P. Tego rodzaju zawiadomienia prospektowe mogą być tylko treścią ogłoszeń, nie zaś artykułów literackich.

OFIARY.

Na wpisy: S. Altdorfer z Odesy rs. 40

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 5 Января 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.